

J. I. KRASZEWSKI



JAKSOWIE

BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY


NAKŁAD I WŁASNOŚĆ MICHAŁA ARCTA

Date Due

APR 8 1968

MAY 6 1968

MAY 27 1968



Digitized by the Internet Archive
in 2025

ST. STANISLAUS PAROCHIAL SCHOOL LIBRARY
CHELSEA, MASS.

JAKSOWIE

PODŁUG POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

„BRACIA ZMARTWYCHWSTAŃCY“

J. I. KRZESZEWSKIEGO

STREŚCIZA DLA MŁODZIEŻY

WANDA LEIWA

Z RYSUNKAMI WŁ. WISŁOCKIEGO

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

750
K
750
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

U.C. BERKELEY LIBRARIES



C095895375

1912. — DRUKARNIA M. ARCTA —
WARSZAWA — ORDYNACKA 3.

I.

Ród Jaksów.



ad Odrą i Wartą rozsiadło się liczne i silne plemię Polan. Wśród nich do najmożniejszych władyków należeli Jaksowie: posiadali rozliczne włości i byli spokrewnieni z najdostojniejszymi rodzinami.

Utrzymywało się o nich podanie, jakoby pochodzili od książąt serbskich.

Poważny ten ród, a w owe czasy już licz-

ny, cieszył się też ogólnym szacunkiem.

Gdy Mieczysław I wprowadzał wiarę chrześcijańską do Polski, przyjęli chrzest dwaj Jaksowie: Chroberz i Zbilut, na chrzcie tym otrzymali imiona Jan i Andrzej. Byli to już starzy wojacy, a każdy z nich miał po dwóch synów, dziel-

nych, butnych, jakby do wojny stworzonych młodzieńców. Od dzieciństwa też sposobiono ich do służby wojennej.

Synowie Andrzeja: Jurko i Andruszko, byli wtedy z królem Bolesławem na Rusi, gdy ojciec ich wówczas bardzo już stary życie zakończył. Powróciwszy z pamiętnego Kijowa, w którym wszyscy wesoło się zabawiali, nie wyłączając króla, synowie zastali swój dwór bez pana, tylko na straży wierną służbę, w skarbcu zaś majątek prawie królewski.

Młodzi, którym brakło teraz oka i powagi ojcowskiej czując się samoistnymi panami, zaczęli używać życia nie żałując sobie niczego, tembardziej że król na nową wojnę ich nie wzywał. Nie chcąc dzielić się ojcowizną, bracia siedzieli razem, na starym dworze, beczynn timer czas spędzając.

Bolesław Wielki był dla swego rycerstwa po-błażliwy, byle tylko na zawołanie stawili swój oddział dobrze zbrojny a chętny do boju. Jakso-wie też jeździli na dwór pański z pokłonem, a król ich przyjmował po ojcowsku.

Jurko będąc w Poznaniu, poznał na dworze królowej piękną Teodorę, córkę Sieciecha, ochmi-strza królewskiego. Oboje podobali się sobie i byli jakby dla siebie stworzeni. Jurko postanowił więc prosić o rękę Sieciechówny, niewiadomo jednak dla czego odkładał to z dnia na dzień: czy przykrem mu było rozstanie się z bratem, czy też żałował swobodnego i wesołego życia...

Bawiono się więc w starym dworze dalej. Sprawiano łowy wspaniałe, ucztę książęce, obda-

rzano bez miary wszystkich, nie czyniąc wyboru. Z sąsiadami były na przemian: zgoda i przyjaźń, to znowu zwady i bójki. Wreszcie zaczynało brakować środków na to życie szalone, nawet bieda zaczęła już zaglądać, a upamiętanie nie przychodziło. Teraz obaj bracia rycerze zaczęli liczyć na nową wojnę, oraz na łupy, któreby mogły ich skarbiec zasilić i dać możność wykupienia zastawionych majątności.

Przyczyną tego wszystkiego złego był przybłęda Szwab, który wcisnął się na dwór Jaksów. Sam korzystał z niedoświadczonych młodzieńców i innym pomagał ich wyzyskiwać. Płaszczył się, pochlebiał i namawiał na wszystkie bezprawia. Choć niby sługa pokorny, zdobył ich zaufanie i rządził dworem całym, wiodąc swych panów do zguby.

Wreszcie w skarbcu były już zupełne pustki; ludzie nie chcieli więcej dawać; skutkiem tego uczty ustały i zabrakło też towarzyszków do zabaw. W starym dworze znikły dawne wspaniałości, rozchwyтали je mniemani przyjaciele.

Stryj Janko choć dość daleko mieszkał, słyszał jednak co działo się u bratanków. Napominał ich nieraz i groził, a gdy to nie pomagało, zabronił synom swoim bywać u stryjecznych braci; w ten sposób zerwały się wszystkie stosunki.

Lecz gdy już ostatnio bieda zawitała do starego dworu, a przyjaciele odmówili pomocy, Jurek i Andrzej zwrócili się do stryja, lecz ten rozgniewany, że go nie słuchali, gdy ich ostrze-

gał, drzwi przed nimi zamknął, niechając ich nawet widzieć.

Tymczasem o wyprawie wojennej, na której zrujnowani bracia wszystkie nadzieje opierali, słyhać nie było. Król Bolesław zawładnąwszy licznemi ziemiami: panując od Dunaju aż po Bałtyk, nowych wojen rozpoczynać nie myślał, a sąsiedzi obawiali się wypróbowanej siły jego Szczerbca.

II.

Namowa i napad.

Dnia tego, w którym nasze opowiadanie się rozpoczyna, Jurko i Andruszko z nieodstępnym Szwabem, powrócili z łowów do dworu, obaj chmurni, bo myśliwstwo teraz jakoś im się nie wiodło. Rozpalono ogień, Szwab poszedł do koni, nikogo nie było w izbie prócz braci.

Oba milczeli posepnie patrząc na ognisko, lub czasem z ukosa na siebie. Trwało to dość długo, — wreszcie młodszy Jurko odezwał się z cicha:

— Co tobie Andruszko?

— Właśnie chciałem spytać, co tobie Jurku, jeschcem cię takim nie widział.

— Ani ja ciebie.

— Bieda u nas...

— Bieda...

— Wojny nam trzeba...

— Król ociężał, już mu się nie chce,

— Bieda... i niewiadomo co na nią poradzić. Westchnęli.

Szwab, który przed chwilą do izby powrócił, stał u progu i słuchał. Gdy Jaksowie umilkli, on odezwał się:

— Na biedę ludzie sobie radzić umieją. Spojrzeli na niego.

— Po co dać rdzewieć mieczom w pochwach? Niema nieprzyjaciela, można zapolować na podróżnych, na przejezdnych.

Andruszko przecząco głową potrząsł.

— U nas tego zwyczaju niema—rzekł żywo—gość u nas bywa zawsze bezpieczny.

— Swój, to pewnie—odrzekł Szwab zmieszany—ale obcy poco się mają po gościńcach włóczyć i to ze skarbami? Co za prawo mają handlować na cudzej ziemi?... U nas jeśli podróżny okupu nie da, idzie do lochu, a często i głową nałoży, a na czyjej ziemi taki kupiec zginął do tego skóra jego należy.

Bracia milczeli. Niemiec mówił dalej patrząc jakie wrażenie czynią jego słowa.

— Tu by można teraz dobrze się obłowić, na tych co do Poznania i Gniezna idą z Grecji i Rusi. Ludzie to niby zbrojni, ale orężem władać nie umieją.

— U nas tego zwyczaju nie bywało — rzucił znów Jurko kwaśno.

Andruszko zamruczał coś niechętnie.

— Takie to polowanie jak inne, tylko skóra lepsza—rzekł Niemiec.

Jurko uśmiechnął się, oczy mu błysły.

— Lepsze to polowanie niż na jelenie — odrzekł rozpogodzony żartując — bo te złotych rogów nie mają, a kupcy mają trzosey nabite złotem.

Andruszko słuchał namarszczony i zły ciągle, patrząc w ogień.

— Milczałbyś! — zawołał w końcu — na co darmo robić sobie oskome. Mieliliśmy i my złota dosyć.

— Gdzie się to wszystko podziało! — westchnął Jurko.

— Dobrzy ludzie rozdarowali, a źli rozchwyłali — odrzekł Szwab.

Jurko wstał i chodząc po izbie wzdychał ciężko.

— Mnie już dokuczyło to ubóstwo i ta pustka i gdyby mi się jaki Grek nadarzył, nie ręczyłbym za siebie... a Andruszko jako dobry brat, nie zostawił by mnie samego.

— Brzydka to sprawa... lepiej czekać wojny...

— Choćby się i niechciało, to musimy — Grecy nie włóczą się po lasach jak zwierzyna.

Szwab rozśmiał się z kąta.

— Nie mówiłbym panom o tem, gdybym coś pewnego nie wiedział.

W Jaksach krew rycerska i myśliwska zagrała. Oba zerwali się i przyskoczyli do niego.

— Mów że, co wiesz? — krzyknął Jurko.

Szwab potarł rudą brodę, pomyślał chwilę i odezwał się.

— Wiem na pewno, że przed Bożym Narodzeniem będą szli przez nasze lasy kupcy z Kijowa. Mają to być kupcy bogaci, wiozą wielkie skarby, a koni jucznych mają kilkanaście.

Na to odezwał się Andruszko niechętnie.

— To pewnie z takimi skarbami bez straży i wojska nie jadą.

— Niby to nie wiadomo jaka to ich straż: najemne pacholki, zbieranina, byle na pozór ich dosyć było. Jakby prawdziwy rycerz huknął na nich, polecą na ziemię jak żołędzie, żaden nawet palcem nie kiwnie.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Szwab milczał, rzucał tylko z ukosa oczami po braciach, badając czy trucizna się przyjmuje.

Wreszcie udając zniecierpliwionego, szepnął:

— Ech, gdyby mi tylko ludzi dano, jabym i sam dał sobie z nimi radę...

— Zła to sprawa i brzydka dla rycerza, — wtrącił Jurko — daj pokój!

— Czemu zła? co w tem złego? Niechby miłościwi panowie pojechali do nas, na niemiecką ziemię, zobaczyliby, że największego rodu książęta zabawiają się w to wolnym czasem. Na wilka, czy na takich włóczęgów wszystko jedno polować, nikt za nimi się nie ujmie. Przepadło, to przepadło.

Jaksowie nie odpowiedzieli ani słowa. Szwab zmiarkował, że nasienie zejdzie później, przycichł więc, jakby mu to było obojętne. Podano wieczerzę: kaszę i ryby, a za napój tylko liche piwo, gdyż nic lepszego w domu nie było. Jurko skosztował, splunął i otarł wąsy.

— Liche pomyje—ani to w żołądku zagrzeje ani w głowie zaszumi; lepszy miód.

Andruszko także skrzywił się, bo lubił lepsze

napoje. Korzystając ze złych humorów Szwab znowu zaczął kusić.

— He! he—gdyby takie polowanie się udało, byłoby za co wina sprowadzić i miodu nasycić. Za złoto można mieć wszystko.

Bracia nic nie odpowiadali, siedzieli smutni z marsem na czołach. Po wieczery Andruszko rzucił pytanie:

— A kiedyż to ta wasza złota zwierzyna ma ciągnąć?

Szwabowi aż oczy się zaśmiały, teraz już pewny był swego. Chciał jeszcze raz dobrze się obłowić, a potem uciekać z tej pustki.

— Lada dzień, lada godzina! — zawołał z radością — ale tam już by trzeba być na przesmyku, aby sobie dobre miejsce obrać.

Na to odezwał się Jurko.

— Zaczepić, czy nie... ale chciałbym widzieć jak to wygląda?... Zresztą okup wziąć na własnej ziemi, to nic strasznego... Biorą z nich opłatę miasta i król...

Szwab korzystając z przychylnego usposobienia Jaksów dla swej sprawy, zaraz zaczął układać całą wyprawę.

— Staniemy miłościwy panie u mostu, przy Gnitym ruczaju... Most pański... Stawiano go nie dla nich. Most kosztuje, a niszczy się.

— Może masz słuszość—mruknął Andruszko.

— Na swoim moście upomnieć się o opłatę nie grzech. Toć i ziemia waszą.

Od tej chwili przestali Jaksowie opierać się namowom; ale tego wieczora nic jeszcze nie urządzono, tylko bracia smutniejsi niż zwykle poszli

spać. Rozdrażnieni i niespokojni, usnąć nie mogli. Jurko myślał jakby bratu życie osłodzić, Andruszko szukał sposobu, aby Jurkowi ułatwić ożenienie się z Sieciechówną.

Rano wśliznął się Szwab do komnaty i stanął w kącie czekając aż bracia pobudzą się i sami zaczną mówić o wyprawie. Chodziło mu o to, aby niedomyślano się jego osobistych korzyści, jakie spodziewał się osiągnąć z tej wyprawy. Tak się też i stało. Jaksowie zobaczywszy go, zaraz zaczęli wypytywać o kupców i prawie cały dzień o tem tylko mówiono. Sprzeczano się, wahano, dopiero późnym wieczorem stanęło na tem, aby pojechać zobaczyć, ot tak, przez ciekawość...

Jaksowie na wszelki wypadek, bojąc się rozgłosu o tej nierycerskiej wyprawie, mieli zamiar jechać sami, zabrawszy tylko Szwaba jako przewodnika.

Uzbrojeni w podwójne kaftany, w hełmy twarde skórzane, dobry oręż i młoty, mogli zwyciężyć dziesięciu pachołków licho zbrojnych. Szwab jednak radził, dobrać paru parobczaków dla powagi.

Sprzeczano się długo, wreszcie uradzono zabrać tylko sześciu ludzi, gdyż ufali w swą siłę i męstwo.

Trzeciego dnia uzbrojeni od stóp do głów, wyruszyli w las jakby na łowy.

Gościniec, którym kupcy jechać musieli, był o dwie mile od dworu. Wśród puszczy, w dolinie w poprzek drogi, ciągnął się bagnisty parów, na dnie którego płynął strumyk, a na nim most. Miejsce przy moście było dogodne dla zasadzki,

gdyż z jednej strony świerki mogły ukryć ludzi, dopóki by cała gromada kupców w dół się nie spuściła. Ucieczka pod górę była niepodobieństwem, bo z powodu mrozu była zbyt śliską. Ominąć tej drogi kupcy nie mogli, była bowiem jedyną wiodącą do Poznania.

Pod wieczór przybyli Jaksowie na obrane miejsce i rozłożyli się w rozdole pod świerkami.

Pomimo że przyzwyczajeni byli w wyprawach rycerskich do niewygód i oczekiwania, nieraz na bardzo licznego i groźnego nieprzyjaciela; nigdy jednak tak smutno i straszno im nie było. Bo też nie rycerskie to było dzieło!

Szwab tylko był w swoim żywiole, zaglądał wciąż przez owiste gałęzie ku gościńcowi. Podług jego rachuby, podróżni musieli przejeżdżać tędy o zmroku, gdyż w pobliżu była osada zwana Kołodzieje, gdzie zwykle obcy, przejeżdżający tędy, na nocleg zostawali.

Pierwszego dnia jednak nadzieja zawiodła; drugiego też czekano napróżno, i Jaksowie zaczęli z pogańska przeklinać swą ciekawość i Szwaba: zapowiedzieli mu, że trzeciego dnia choćby po nocy powrócą do domu, tembardziej, że mróz dokuczał i wiatr smagał.

Wtem na gościńcu, gdy zmierzchać zaczęło, ukazali się ludzie jezdni prowadzący konie obładowane.

Andruszko zerwał się i z zapalem, jakby rzeczywiście zobaczył nieprzyjaciela, począł rozporządzać i ludzi ustawiać.

Orszak ów nie domyślając się nic złego powoli się zbliżał.

Czekano aż cały z góry się spuści.

Gdy pierwsze konie z przewodnikiem miały wstępować na most, Jurko i Andruszko wypadli z krzaków i drogę im zastąpili. Kupcy mieli z piętnaście koni i ze sześciu ludzi licho uzbrojonych. Na czele jechał mężczyzna czarny, wąsaty, u pasa miał dwa noże, młot żelazny przytroczony do siodła i miecz przy boku.

Kupcy spostrzegłszy naprzeciw siebie zbrojnych, stanęli, tymczasem ich pieszy przewodnik, zobaczywszy z kim ma do czynienia, rzucił się w bok i zniknął.

Szwab pierwszy wystąpił do rozmowy, wołając, że przejazd bez okupu nie jest dozwolony. Wąsacz krzyczał coś niezrozumiale, a na poparcie słów chwycił za miecz.

Na widok żelaza, w Jaksach krew zakipiała.

Kupiec z obładowanemi i zmęczonemi końmi, po śliskiej górze uciekać nie mógł. Ludzie jego stanąwszy po bokach, sposobili się do obrony. Zaczęto od okrutnego łajania z obu stron...

Wtem Jaksowie skoczyli wprost na wąsacza i jeden z nich tak ciął go przez głowę, że czapka rozleciała się na dwoje. Grek bronił się dość odważnie. Wszczęła się ogólna utarczka, a że Jaksowie mieli silniejszych ludzi, zwycięstwo było więc po ich stronie.

Dwóch pachołków pierzchło w las, inni poginęli od razów, kupiec także zwałił się z konia, porąbany okrutnie i wkrótce ducha wyzionął.

Konie ich uciekały przestraszone, ale na ślizgawicy przewracały się, więc je z łatwością pochwymano.

Nie upłynęło pół godziny, a cała zdobycz była w ręku napastników. Odarto trupy i rzucono na gościńcu. Jaksowie ze zdobyczą i końmi pochwytanemi puścili się żwawo do swego dworu. Już nawet nie zważali na to aby się kryć z popełnionym rozbojem. Gdy na dwór przybyli, kazali ludziom wyjść z pochodniami. Zdjęte z koni juki poznoszono do wielkiej izby na dole, gdzie zebrało się mnóstwo ciekawych.

Na samym dowódcy karawany zrabowano dwa trzosa złota, w jukach zaś były bogactwa różnego rodzaju. Najwięcej było złotych i srebrnych lam, jakich panie wówczas używały na suknie i do pokrycia futer, byzantyńskich purpurowych szat, jedwabów tkanych wzorzysto, wreszcie złotych naszyjników, kolców, naczyń i różnych innych wyrobów, zdobnych drogiemi kamieniami lub emalią.

Łup przechodził najśmielsze nadzieje. Był tak wspaniały i obfity, iż Jaksowie zapomniawszy w jaki sposób go zdobyli, odzyskawszy wesołość, cieszyli się hucznie i głośno. Szwabowi udzielono też sporą część, on bowiem głównie o tę zdobycz się starał.

Całą noc prawie trwała uciecha. Bracia sami przed sobą uniewinniali się, mówiąc, że Grek pierwszy porwał się do miecza, a oni mieli prawo wymagać okupu na swoim moście. Cudzoziemiec sam więc był winien swej śmierci. Pomsta zupełnie słuszną im się wydawała, bo nawet jeden z nich był ranny w ramię; wobec tego wygrana ledwie za krew zapłaciła.

Szwab, śmiejąc się upewniał, że o podróżnego i pies się nie upomni. Trupy zaś wilki rozszarpią i wszelki ślad zaginie.

III.

Trwoga i uwięzienie braci Jaksów.

Dopóki rozgorączkowanie trwało, braciom zdawało się, iż powrócili z wojennej wyprawy, byli weseli, rażni. Poszli spać podochoceni. Nazajutrz dopiero przyszły pewne obawy. Andruszko pierwszy wpadł na tę myśl, czy kupiec nie był powołany na dwór królewski i czy go tam nie czekają?

A jeśli miał pozwolenie i porękę? Cóż będzie naówczas? Przy kupcu znaleziono wprowadzić kawał skórki zapisanej i z pieczęcią, ale w starym dworze nikt czytać nie umiał, więc tę kartę Szwab zaraz rzucił w ogień. Jurko milczał posępnie, lecz z rana przebudziwszy się, i on począł jakoś inaczej zapatrywać się na tę sprawę. Łup wydawał mu się zbyt bogatym, a zdobytym niebardzo prawnie. Cicho, przez zęby kłął Szwaiba. Obaj bracia chodzili niespokojni.

Ludziom, którzy brali udział w wyprawie nakazano najsurowiej bezwzględne milczenie. Jednego z nich wysłano na zwiady, co się stało z trupami. Kazano, jeżeliby jeszcze leżały na gościńcu, zawlec w krzaki i przykryć chróstem.

Czas oczekiwania posłańca bardzo się dłużył. Wreszcie doczekano się go, lecz z niedobremi

wieściami. Dotarł on aż do Kołodziejów, a udając podróżnego, dowiedział się, że ludzie królewscy, powracający tędy do Poznania, zabrali ciało kupca. Pochwycili oni także przewodnika karawany; ten, będąc rodem z sąsiedztwa poznał ludzi, którzy na kupca napadli, a że się to stało na gruncie Jaksów im też winę przypisano. Tem większa trwoga padła teraz na winowajców, którzy nie chcąc zrzucić winy jeden na drugiego, zrzucali ją całą na Szwaba, oni bowiem ulegli tylko pokusie.

Andruszko, przewidując oskarżenie, myślał już sam jechać do króla, aby przed nim opowiedzieć rzecz całą, jak należało. Jurko opierał się temu, Szwab też gwałtownie to odradzał. Po naradzie, postanowiono czekać, co z tego wyniknie, przygotowując się na najgorsze. Tymczasem zwoławszy ludzi, układali, jak będą się tłumaczyć.

Tak się nawzajem pocieszano dodając sobie męstwa, chociaż Jaksowie znając dobrze króla, jego gwałtowność i surowość nieubłaganą, wiedzieli, że gdyby musieli stanąć na jego sąd, przebraliby sprawę.

Królowi szło o to bardzo, aby obcy byli bezpieczni w jego krajach, dlatego bezprawia i gwałty poddanych karał bezlitośnie.

Jaksowie mieli u króla zasługi i łaski, na dworze przyjaciół wielu, oraz rodzinę możną i poważaną. Wszystko to mogłoby ich bronić, ale król gdy raz co postanowił, nie odstępował od tego.

Niepokój zwiększył się jeszcze, gdy przewidyjący coś bardzo złego, Szwab, zabrawszy

część łupu, umknął z kilku ludźmi. Nie bardzo im było żal sługi i kosztowności, ale ucieczka dawała do myślenia, że on obawiał się pomsty.

Bracia wiodąc z sobą spory, dwa dni prze-trwali w niepokoju. Nareszcie gdy nic nie było słychać, sądzili, że burza ta w inną stronę się zwróciła.

Nagle, nocą, nadbiegł królewski posłaniec w czterdzieści koni, dwór osaczył dokoła, a Jaksom przywiózł rozkaz, aby natychmiast stawili się przed sąd królewski, jako obwinieni o napad, zabójstwo i złupienie kupca, który wiozł dla króla z Kijowa zamówione towary.

Ani opierać się temu rozkazowi, ani uciekać nie było sposobu, a sąd króla—to śmierć pewna.

Stary komornik i dowódca pancerników królewskich, Drogosz, dobry obu braci znajomy, wszedł do izby, lecz gdy miał oznajmić z czem przybył, głos mu w gardle zamarł i z bólu ręce załamał; długo stał niemy, potem zdjął hełm z głowy, cisnął go na stół i padł na ławę.

Drogosz bywał z Jaksami na wojnach i uważał ich tak jak inni za ludzi dobrych, uczynnych, serdecznych, dzielnych rycerzy, umiejących zasłużyć sobie na ogólną miłość, którzy zgrzeszyli tylko płochością i nierozwagą.

Po chwili wstał i oznajmił braciom rozkaz królewski. Jaksowie wysłuchali w posepnem milczeniu, żaden z nich nawet się nie poruszył, wiedzieli, co ich czekało. Andruszko tylko pragnął oswobodzić brata, Jurko myślał jakby Andruszkę ocalić.

— Na pioruna! cóżeście to za piwo nawarzyli? — odezwał się stary pancernik. — Wy, najmąjdniejsi ze starych władyków, wy, coście złoto garściami rzucali, żebyście się połakomili na kupca i jak proste łotrzyki, dla mizernego skarbu, na życie podróżnego godzili?!

Żaden na razie się nie odezwał.

— Król zły... zaprzysiągł, że tego nie przebaczy—dodał Drogosz wzdychnąwszy.

Widać było po nim, że pragnął znaleźć sposób ocalenia ludzi walecznych i dobrych towarzyszków.

Po namyśle Andruszko się odezwał.

— Słuchaj, Drogosz, skusił nas bies w niemieckiej skórce. Co się stało, na to niema rady—powiem ci tylko, że Jurko niewinien, jam starszy, jam mu iść kazał.

Wtem Jurko przerwał.

— Nie słuchaj go!... Bóg świadek, jam pierwszy dał się zwieść Niemcowi. Trzeba dać głowę,—dam ją, byle Andruszko wyszedł cało.

— On poszedł za mną nie ja za nim... — wołał Andruszko.

Drogosz ręką machnął.

— Jam tu nie sędzia — mnie was obu dostawić kazano. Powiecie królowi, jak się rzecz miała...

Pospuszczali głowy bracia, a Drogosz dorzucił:

— Póki czas, — ślijcie do stryja Janka, dajcie znać znajomym, niech jadą i proszą, jeżeli nie króla, bo do niego zagniewanego przystąpić trudno, to do królowej. Wiele ona może. Choć

Bolesławowskie słowo rzecz straszna jak grom, a król się zaklął... Niewiele nadziei.

— Albo i żadnej! — dokończył Andruszko. — Kto dziś wstawi się za nami? Stryj zagniewany, przyjaciele dopóty trzymali z nami, póki było szczęście. Nikt nie powie słowa, aby łask pańskich nie postradał. Niech się dzieje wola Boska... może jedną głowę dając ocalimy drugą.

Drogosz widząc, że nie myślą o ratunku, szepnął ludziom dworskim, aby jechali do starego Janka i innych krewnych, zaklinając o pomoc dla nieszczęśliwych. Wedle rozkazu królewskiego zabrano konie, towary i wszystko co do zabitego kupca należało.

Po południu, obaj bracia wsiedli na konie, żegnając oczyma swój dwór stary i sługi rozplakane, nie spodziewali się już tu powrócić.

Smutny pochód pociągnął do Poznania.

IV.

Prośba nieboszczyka. Gniew króla.

Wieść o wypadku z Jaksami, podawana z ust do ust, rozeszła się zaraz daleko.

Być może, że Drogosz przyjazny Jaksom, umyślnie powoli z niemi ciągnąc, po drodze rozgłaszał co zaszło, aby tym sposobem rodzinę uwiadomić i powołać ją na pomoc.

Na dworze pańskim i w wojsku mało było rycerzy tak powszechnie umiłowanych jak Jurko i Andruszko. Nikt ich nie wyprzedził gdzie było

trzeba, za przyjaciela w niebezpieczeństwo się rzucić, majątkiem lub krwią płacić. Nikt by nie zliczył, ilu towarzyszków wykupili z niewoli, ile ran w ich obronie odnieśli.

Młodzi, zdrowi, silni, piękni, wiele obiecujący. Król na nich rachował; jedna chwila szalona wszystko w niwecz obróciła. Żal też był powszechny, przeklinano Szwaba, jego namowom winę przypisując. Każdy jednak, dowiedziawszy się o królewskim gniewie, nie wątpił, że Bolesław karę wymierzy straszną.

Drogosz wszystko czynił co mógł, aby podróż trwała jak najdłużej.

Tymczasem stało się to, czego się nikt nie spodziewał: Szwaba, który chciał przekraść się za granicę z łupem swoim, pojмали ludzie królewscy.

Temu po krótkim badaniu, zanim Jaksowie przybyli, król głowę ściąć kazał.

W chwili gdy Jurka i Andruszkę brano, sługa ich wierny skoczył oklep na konia i popędził do stryja, który mieszkał w Niemierzyszczach na swoim gródku, odległym o mil kilkanaście.

Był to człek lat już bardzo podeszłych, za którego teraz dwu synów stawało na wojnę. Swojego czasu zawołany dowódca, bił się gdzie tylko zabrzęczały miecze. Kilka razy pokłuty i porąbany, bywał także w niewoli u Słowian i Niemców, lecz zawsze mu jakoś szczęście służyło, że się wyratował i do domu powrócił.

Teraz stare rany się otwierały, o kiju chodzić musiał. Dla dzieci po staremu był surowym. Żona jego Czeszka Drahomira zmarła jakoś w krót-

ce po przyjściu na świat synów, a powtórnie już się nie żenił.

Synowie Janka byli rówieśnikami stryjecznych i jak tamci ludzie rycerscy. Miklasz i Oleksy, chodzili z pocztami na wyprawy, a gdy wojny nie było, musieli być u ojca sługami. Janko kochał ich, ale im nie folgował.

Już zdawna, z rozkazu Janka, nie było żadnego stosunku między dworami Jaksów.

Gdy przybył ów sługa z wieścią o wypadku Jurka i Andruszki, spotkawszy na podwórzu Miklasza, opowiedział mu o całym wypadku, ręce łamiąc i o pomoc prosząc. Miklasz nie wahał się zaraz iść z wieścią do ojca, pomimo, że gniew jego na stryjecznych trwał ciągle. W izbie w tej chwili siedział sam stary ojciec przed ogniem, ręce zwiesił i dumał.

Syn wszedłszy na próg, oznajmił, jak to było w zwyczaju, że ze złą wieścią przybywa.

— Nie trzymaj że jej jako miecz nad karciem, a mów.

— Z Jaksowych borów sługa przybiegł. Stało się tam nieszczęście: Jurko i Andruszko napadli na gościńcu kupca Greka, który wioził kupię dla króla z Kijowa, poważnili się z nim, zabili go i odarli. Król przysłał po nich i kazał na sąd swój stawić w Poznaniu.

Janko, wysłuchawszy syna, głową potrząsł; słów mu brakło.

— Jeśli tak jest — rzekł stary — jeśli prawda, będą musieli dać szyje. Na cały ród Jaksów padnie hańba i sromota niezmazana.

Załamiał dłonie.

— Co czynić? Co czynić?... O miłosierdzie prosić dla łotrów, czy za cudzą winę hańbę ponosić?... A zdaż się na co u Bolesława błaganie? A pomogą u niego łzy i prośby?...

Zamyślony, długo w ziemię patrzył, potem skinął, aby mu owego starego sługę przysłano. Ten z płaczem począł opowiadać, jak się to stało, a dobrze znał sprawę, bo należał do tych, co z Jaksami byli u mostu.

Dowiedział się więc Janko, kto był przyczyną nieszczęścia. Puściły mu się łzy,—siedział w myślach zatopiony jak martwy.

Syn stał czekając na rozkazy, ale ojciec o nim zapomniał. Potem niby sam do siebie, z wielkim bólem, zaczął mówić.

— Niech kąkol idzie na ogień, aby zostało tylko czyste ziarno. Niech giną!

Miklasz miał ochotę za stryjecznymi przemówić, lecz nie śmiał ojcu się sprzeciwić, westchnął więc tylko.

Zwrócił się stary Janko do niego i wpatrzył pytającym wzrokiem.

— Rodziców dawno stracili, w złe towarzystwo się dostali... — począł Miklasz nieśmiało.

— A krew to bujna Jaksów, co nie łatwo ostygą—dorzucił ojciec, i ręce załamał.

— Król, jeśli nie im, to nam, rodzinie, ulitować się powinien. Im weźmie życie, a nam sławę pocziwą na wieki.

I wstał nagle, choć się pod nim nogi trzęsły. Z pod siwych brwi oczy mu błyszczały.

— Jeśli jeszcze czas miłosierdzia prosić — nie dla nich, ale dla was, dla tych co pomarli i co

żyć będą po nas... Jam stary i słaby, ale jechać muszę!... Miklasz, ty pojedziesz ze mną... każ siodłać konie...

Synowi zdał się dziwnym ten rozkaz, aż się przeląkł. Stary od kilku lat już ledwo chodził. Po chwili odezwał się z pokorą.

— Ojcie miłościwy — jakże wam pomyśleć o koniu?... Wyście słabi, a czas mroźny...

— Na saniach leżeć nie będę, to chłopska i babska rzecz, a jam rycerz!... Starego mojego wierzchowca mi osiodłać! Kożuch wezmę, jechać muszę.

Nie było co z nim rozprawiać, gdy raz wydał rozkaz. W milczeniu posępnem poczęto zaraz przysposabiać się do drogi. Ojciec nie mówiąc już nic, dawał tylko znaki. Gdy oznajmiono, że koń już stoi w pogotowiu, dwóch ludzi wyprowadziło starca. Trzeba go było podnieść na ramionach, aby wsadzić na wierzchowca, lecz gdy raz się na nim znalazł, już się nie zachwiał.

Przeprowadzony z synem przez cały dwór i gromadkę ludzi, Jaksa wyruszył do króla.

— Padnę do nóg—prosić go będę... a jeśli nie ubłagam, wyniosę się z tej ziemi... aby nam sromu nie wytykano. Do Czechów pojedziem, albo do Serbów!

Jakby gorączka nim owładnęła, choć słabł ze znużenia, pośpieszał nie tracąc chwili.

Drugiego dnia już mu zaczęło brakować tchu, wiatr był ostry i zimny, a koń utykał na nogi. Stary i na noc nie chciał spocząć; gdy konie popasały, kazał sadzić się na wierzchowca i ciągnął dalej.

Wreszcie sił ciągle wątlejących braknąć zaczęło. Musiano go w pierwszej chacie przy drodze położyć aby się pokrzepił. Płakał, że dalej jechać nie mógł. Życie, którego i tak nie wiele już w nim było, nagle się wyczerpało; gasnął w oczach. Syn przykląkł przy nim płacząc. Staremu chwilami oczy pały niepokojem i boleścią.

— Miklasz!—ozwał się naraz słabym głosem—zaklinam cię na wszystko co najdroższe, na krzyż Pański, na miłość, jaką mieliście dla mnie, uczynicie co każę, czego żądam.

Syn na znak posłuszeństwa rękę położył na piersi.

— Mnie tu umierać przyszło. Skoro umrę, wsadźcie mnie na mojego konia, przywiążcie do niego, trzymajcie abym nie upadł i jedźcie z trupem do Poznania, przed króla. Powiedzcie mu, że nie mogąc żywy, przybywam umarły, prosić za rodem moim... Nie zlitowałby się żywemu, może nieboszczykowi się zmiłuje. Rozumiesz to?

Miklasz milczał przerażony.

— Rozumiesz? Tak być ma! Tak ja chcę! Służyłem mu wiernie, krew lałem za niego.

Zabrakło mu sił, głowę zwiesił, umierał. Nie upłynęło ćwierć godziny, a stary Jaksa ducha Bogu oddał. Miklasz klęczał przy ojcu osłupiały. Gdy się ocknął i przypomniał sobie przysięgę, nie pozostało mu nic jak tylko ją spełnić.

Dziwne to było i straszne, oglądać zdążającego po śmierci jeszcze, na spełnienie obowiązku.

Stawali po drodze ludzie dziwując się i nierozumiejąc tego.



.. na koniu śledził nieboszczyk podtrzymywany przez
kilku ludzi...

Pomimo koniecznego pośpiechu orszak włókł się powoli, zbliżał się do królewskiego grodu. Na gościńcu wiodącym do zamku spotkano Drogosza. Pierwszym słowem Miklasza było spytać, co się działo ze stryjecznymi. Drogosz, ciężko westchnął.

— Prosiliśmy wszyscy, prosili powinowaci: Pobogi, Lisowie, Śreniawy, ale woła króla żelazna. Prosiła królowa na kolanach, lecz pono nadaremno. Jedźcież wy, niech nieboszczyk stanie przed nim, w imię służb swych błagając, jeśli czas...

Miklaszowi śpieszno było w drogę, rozstali się więc z przyjacielem i pochód sunął dalej.

Zbliżając się do Poznania, gdzie ludzi spotykano coraz więcej, ledwie mogli przepchać się przez gromady ciekawych, których zwabiało to straszne widowisko. Gdy już widać było bramy zamkowe, Miklasz wystąpił naprzód, za nim szedł chłopak prowadząc konia, na którym siedział nieboszczyk podtrzymywany przez dwóch ludzi. I tak wszedł na podwórcę zamkowe ten dziwny, przerażający kondukt.

V.

Wyrok królewski.

W stolicy królewskiej zmieniło się wiele. Poznań w ostatnich latach rządów Mieszkowych, a potem za syna Bolesława, urósł na znaczne miasto. Obok dawnych dworów drewnianych, kazał Bolesław wystawić murowane palatium

dla siebie, takie prawie, jakie mieli cesarze w Diezwinie i Merzeburgu. W pobliżu, na gruzach pogańskiej świątyni wznosił się kościół katedralny. Budowany z kamienia ciosowego, jedna z pierwszych w Polsce stolica biskupia. W pośrodku świątyni, naprzeciw wielkiego ołtarza spoczywały zwłoki Mieszka; Bolesław też tu dla siebie grób sposobić kazał. Dąbrówka matka Bolesława, wołała spoczywać w gnieźnieńskiej katedrze, którą sama wzniosła.

Rycerskim był cały dwór wojowniczego pana, który aby z wielu słowiańskich plemion utworzyć jedno państwo, większą część życia spędził w polu i na koniu. Zamek roił się żołnierstwem, duchownymi, posłami różnych krajów, oraz licznymi gośćmi, którzy nieustannie napływali.

Większa część dworu pańskiego, która na przyjęcie cesarza Ottona III, według ówczesnego zwyczaju, była przybraną na modę włoską i frankońską, później dla okazałości, pozostała w tych strojach. Czeladź więc i pacholęta mieli strój przepołowiony, tak że jedna jego strona była czerwona, druga żółta i kaftan miał rękawy różnej barwy.

Przepych widać było wszędzie, bo go król lubił i chętnie na zamku widział, chodziło mu o to, aby od innych pośledniejszym nie zostać.

Uzbrojenie u Bolesława też było jednostajne i wykwinniejsze niż dawniej. Każdy żołnierz był okryty pancerzem skórzanym, łuską żelazną naszywanym. U starszych, przy hełmach okutych żelazem, powiewały kity białe i purpurowe. Piechota miała tarcze błyszczące, okute blachą i na-

bijane gwoździami, na każdej widać było znak pocztu i ziemi, do których rycerz należał.

W podwórcach, jak na targu, w dzień i w nocy tłumy, przez które przebieć się było trudno.

Gdy Miklasz Jaksa wjeżdżał w bramę zamkową, prowadząc za sobą ciało ojca, oczy wszystkich na niego się zwracały. Komornicy królewscy spostrzegłszy trupa, z którym w podwórzec wprost zmierzano, ulękli się wielce, lecz nie śmieli powstrzymać. Oznajmiono przełożonemu nad dworem, Sieciechowi, aby króla uwiadomił, lub rozporządził co należało.

Wybiegł zaraz Sieciech. Był to człowiek poważny, bogato ubrany, w złotym łańcuchu na szyi, czapce sobolej na głowie. Musiał mu Miklasz tłumaczyć się, w jakim poselstwie jechał od umarłego. Sieciech kazał stanąć, a sam pośpieszył do króla, który w sypialni swej z opatem tynieckim księdzem Aronem rozmawiał.

W ogromnym kominie z kapturem palił się ogień, przed nim siedział Bolesław w krześle. Kożuch soboli, jedwabiem pokryty, stanowił cały ubiór króla. Z pod niego widać było tylko bielezną cienką, na nogach miękkie buty bramowane futrem.

Obok krzesła królewskiego stał duchowny, wysoki, szczupły, z twarzą bladą, myślącą, z krzyżem złotym na piersi. Król z nim rozmawiał, gdy drzwi uchyliwszy wsunął się Sieciech z niskim ukłonem.

Na obliczu pańskim dostrzedz było można zniecierpliwienie. Sieciech stanął i milcząc gładził

brodę, jakby czekał na zezwolenie królewskie, aby mówił.

Król, zwrócony doń pytającym wzrokiem wpatrywał się, lecz także milczał.

Sieciech w końcu postąpił krok naprzód i począł:

— Przebacz, miłościwy królu—musiałem przerwać wczas Waszej Miłości, wchodząc... w podwórcu nieboszczyk domaga się twej łaski i posłuchania...

Król i opat zdziwieni, spojrzeli po sobie.

— Tak jest, miłościwy panie — kończył Sieciech powolnie. — Stary sługa królewski Janko Jaksa z Niemierzyszcz, jechał prosić łaski i zmiłowania pańskiego, a w drodze umierając, kazał synowi trupa swego tu przywieść, aby on błagał u Miłości Waszej o przebaczenie dla synowców... Syn ze zwłokami ojca stoi przed drzwiami... Ludzi gromady się zbierają.

Na twarzy króla, który groźnie brwi ściągnął, odmalował się gniew straszny, oczy błysnęły, pięścią uderzył w poręcz krzesła, lecz słowa nie rzekł, tylko spoglądał na opata.

Opat Aron, stał z głową spuszczoną, nie dając poznać po sobie co myślał.

— Syna jego mi tu prowadź! — zawołał Bolesław.

Sieciech pokłonił się i wyszedł.

Długo trwało milczenie, w ognisku tylko płomień syczał i iskry z niego pryskały.

Za drzwiami dały się słyszeć kroki idących; w progu ukazał się Miklasz Jaksa błądy, stał

chwilę, a potem rzucił się na kolana przed królem.

— Miłościwy panie!...

— Wiem wszystko—przerwał król pięść podnosząc.—Stary Janko przychodzi z grobu prosić za krwią swoją... ale ja... przysiągłem, że nie przebaczę. Każę sprawić poczesny pogrzeb sławnemu rycerzowi, a głowy ich spaść muszą jutro rano... i spadną!...

Usłyszawszy ten wyrok, Miklasz wstał powoli. Duma starego rodu Jaksów zamknęła mu usta. Nie rzekł nic, nie prosił więcej...

Król głowę spuścił na piersi, ręką dał znak.

Miklasz nie uchyliwszy nawet czoła, wolnym krokiem wyszedł z sypialni. Za nim pociągnął wzrok królewski i zatrzymał się długo na kotarze, za którą Miklasz zniknął.

Słysząc było ciche niepewne kroki, które się oddalały. W kominie ogień syczał i iskry z niego pryskały. Z podwórców dochodził głuchy tentent koni i gwar jakiś stłumiony, a potem gród zaległa cisza... tylko ognisko mówiło niezrozumiałym językiem.

Wprowadzenie zmarłego Janka Jaksy na gród dla prześlągnięcia gniewu królewskiego, wywarło na wszystkich silne wrażenie. We wszystkich też sercach budziła się litość. Niecierpliwie oczekiwano ostatniego wyroku z ust króla. A choć znano jego wolę niezłomną, choć prośby królowej były daremne, spodziewano się jednak, że ten jęk z za grobu przemówi do serca pańskiego i zmiękczy je...

Gdy ujrzano Miklasza pogrążonego w smutku, z rozpaczą na twarzy,—domyślili się wszyscy, iż i ta prośba niezwykła nic nie uzyskała.

Szmer jakiś smętny, bolesny, przebiegł zgromadzonych, z posępnemi twarzami rozchodzić się zaczęli.

Miklasz namyślać się zdawał przez chwilę, wreszcie milczący poszedł do konia, siadł nań i ludziom dał znak, aby za nim jechali.

Już orszak zwrócił się ku wyjściu, gdy z dworca królewskiego wyszedł opat Aron i żywym krokiem podążył ku Miklaszowi.

— Stój!—zawołał.—Miłościwy pan, a król nasz dla winnych tylko jest surowym, łaski jego nie straciliście. Pogrzeb ojca waszego kazano urządzić w zamkowym kościele... Jedźcie wprost do tumu...

Miklasz słuchał milczący, wreszcie rzekł:

— Ojciec mój, to uczynię ze zwłokami rodzica mojego, cohy on ze sobą żyw uczynił. Powiozę go stąd do pierwszego cmentarza i złożę w pierwszym kościele, jaki na drodze napotkam... Shańbiona rodzina nasza, co łaski pańskiej nie była godna,—ani żyjąca, ani umarła już nie przestąpi więcej progów zamku tego... Taka była wola zmarłego...

Opat surowym okiem zmierzył mówiącego i długo się w niego wpatrywał, potem rzekł po cichu.

— Miklaszu Jakso—czyńcie, jak chcecie... ale rozważcie dobrze, komu wydajecie wojnę...

A głos zniżając, dodał.

— Ja dziś jeszcze widzieć się z wami potrzebuję dla dobra waszego.

Młodzieniec skłonił tylko głowę i pochód żalobny ruszył z grodu powoli; opat, oglądając się odszedł ku tumowi. W podwórzu zostały gwarzące cicho gromadki ludzi, wiodące oczyma za Jaksami, jakby przejęte żalem i trwogą.

Od przywiezienia na gród braci winowajców, poruszenie tu było wielkie. Dawno już nie widziano króla Bolesława tak gniewnym, tak zapalczywym i strasznym.

V.

Prośby Teodory. Ofiara królowej.

Na dworze królowej także panował smutek i żal wielki. Królowa Emnilda, biorąca zawsze w obronę nieszczęśliwych, teraz niewysłuchana przez króla, jeszcze ofuknięta i z groźbą odprawiona, siedziała sama zamyślona u gasnącego ogniska.

Długoby może tak w myślach zatopiona pozostała, gdyby nie dał się słyszeć płacz stłumiony z sąsiedniej komnaty.

Odsłoniwszy zasłonę poczęła się rozglądać skąd płacz pochodził.

Ujrzała w sąsiedniej komnacie trzy młode dziewczęta skupione w jednym kącie, z których jedna leżała na ławie zemdlona, dwie towarzyszki cucily ją. Zemdlona otworzyła oczy, a zobaczywszy wchodzącą królowę, zapłakana, usiłowała podnieść się z trudnością, towarzyszki jej stały milczące i pomieszane.

Królowa zbliżyła się do osłabłej, chcąc

zobaczyć, co zaszło, gdy ta, nagle złożywszy ręce padła przed nią na kolana.

Była to Teodora Sieciechówna, od dziecka wychowana na pańskim dworze, a przez królową Emnildę kochana jak własna córka.

Nie mogła królowa pojąć przyczyny tych łez i rozpacz, bo pieszczone dziewczę nie miało nigdy powodu skarżyć się na kogo. Kochali ją wszyscy.

Teodora, zachodząc się od płaczu i obejmując nogi królowej, błagała.

— Ocal go, miłościwa pani, ocal go!... albo mnie niech razem z nim stracą...

Usłyszawszy to, zmieszana Emnilda skinęła na dziewczętą, aby wyszły, a sama podnosząc z ziemi zapłakaną, zapytała łagodnie.

— O kim mówisz dziecko moje... ja cię nie rozumiem.

Teodora łkając, odpowiedziała urywanemi słowy, że już dwa lata temu w czasie świąt wielkanocnych, dali sobie słowo z Jurkiem Jaksą, że się pobiorą.

Jurko już dawno miał prosić ojca o jej rękę, lecz zmiany, jakie zaszły w majątku, wstrzymały go, czekał poprawy losu. Teodora także czekała, śniąc o przyszłości. Nagle doszła ją straszna wieść, że Jurko skazany na śmierć. Rozpacz ją ogarnęła, udaje się więc do królowej, jak do matki, błagając o litość i ratunek.

— Dziecko moje — odrzekła Emnilda — nie wiedziałam, że Jurko był twoim bohdanem, chodziłam jednak do króla prosić za nim, ale nic nie pomogło...

— Miłościwa pani, matko moja!—jeśli on zginie, poślijcie mnie do Dziwina, do Merzeburga, gdzie chcecie, zamknijcie w klasztorze. Ja światą znać nie chcę, żyć nie mogę, jeśli go nie ocalę...

— Bóg tylko jeden ocalić go może!—odrzekła królowa i łzy popłynęły z jej oczu. Po chwili dodała.

— Uspokój się dziecko, uczynimy wszystko, co jest w ludzkiej mocy...

Dziewczęta przestraszone rozpaczą Sieciechównej, widać pobiegły dać znać jej ojcu, gdyż stary Sieciech zjawił się niespodzianie.

Ujrawszy córkę zapłakaną, klęczącą u nóg królowej, przestraszony rzucił się ku niej.

Teodora przed ojcem padła na twarz i nie tłomacząc się jaśniej, błagać zaczęła.

— Ojczy mój! Ty masz łaskę u króla... ty wyproś, wybaw go od śmierci!...

Zdumiony Sieciech, który o zamiarach córki nic nie wiedział, zwrócił się do królowej. Z jej ust dopiero usłyszał, za kim Teodora prosiła.

— U króla wyprosić łaskę, gdy poprzysiągł... tego nawet pani nasza, ani opat Aron, ani święty męczennik Wojciech, gdyby wstał z grobu, nie potrafili by pewnie... cóż ja? Gdy spadną ich głowy, a gniew pański uśmierzy się, gdy król ochłonie—a! wtedy, posłyszemy żal spóźniony, jakto już nieraz bywało. Lecz oni już nie zmarłychwstaną!

Teodora siedząc na ziemi ciągle płakała, królowa tuliła ją i pocieszała. Sieciech zadumał się, wszyscy mieli łzy w oczach.

Trwało to dość długo. Nagle dziewczę, które zdawało się być zdrtwiałe z bólu, zerwało się z ogniem i męstwem w oczach, chwyciło królowę za rękę i całować namiętnie poczęło.

— Pani moja miłościwa! słyszeliście, co mówił ojciec, on zna króla... on wie, że król sam będzie żałował straconych. Odważ się pani! ocalmy ich, mimo wiedzy króla.. dla niego samego— ocalmy ich!..

Rzuciła się znowu na kolana.

— Wiem, że ich tracić mają w więzieniu. Nikt wiedzieć nie będzie... Ty rozkazać możesz, niech kat powstrzyma rękę, niech zostaną w ukryciu, aż gniew pański przeminie. Nikt ciebie pani nie zdradzi, bo cię miłują wszyscy.

Gdy śmiało dziewczę gorączkowo wymawiało te słowa, Sieciech i królowa zamilkli, strwożeni na samą myśl nieposłuszeństwa temu, który cienia jego nie znosił, którego gniew był jak piorun, bijący choćby w kościoły.

Po długim milczeniu odezwała się królowa.

— Dziecię szalone—wiesz że ty, czego śmiesz żądać ode mnie? Gdybym stała się mu nieposłuszną... Na siebie i na sumienie jego wydałabym wyrok...

Spuszczając oczy wyrazy te wymówiła królowa. Wszyscy stali oniemiałi.

Sieciech dumął; boleść córki kazała mu szukać ratunku, tam nawet, gdzie już go wcale nie było. Po namyśle odezwał się.

— Miłościwa pani! próżne są obawy wasze! Gwałtownym jest pan nasz, ale dla was zawsze ma serce i poszanowanie, któż wie, czyby wdzięcz-

nym nie był, gdybyście go od własnego gniewu uratowali?

Zamyśliła się trwożliwie królowa.

— Któż wie? któż wie?—powtórzyła cicho.— Życie dwóch młodych ludzi, którzy będą mieli czas odpokutować za winy swoje, czy nie więcej warte niż ostatek mego szczęścia?... Mieszko i Dobromir już matki nie potrzebują. U dworu zastąpi mnie młoda synowa Ryksa...

Znowu łzy potoczyły się z jej oczu.

Ta iskierka nadziei wprawiła w szal Teodora; przyczołgała się do nóg królowej, ścisnęła i całowała. Sieciech stał milczący, nie śmiejąc już namawiać.

Emnilda zbliżyła się do niego i szepnęła:

— Proście księdza Arona do mnie, a ty dziecko idź i módl się.

Królowa wróciła także do swej komnaty, a padłszy na klęcznik, modliła się gorąco.

Dość długi czas upłynął zanim opat Aron oznajmił, że jest na wezwanie królowej, proszono go zaraz.

— Ojczy mój! rady twojej proszę.

Zbliżyła się Emnilda i wpatrzyła w opata, on stał nieruchomy.

— Wyznam ci jak na spowiedzi. Kuszona jestem, abym dla ocalenia porywczoby przez króla na śmierć skazanych dwóch młodzieńców, kłamstwo popełniła. Wy wiecie, ojczy, o kogo chodzi. Są to dzieci znacznej rodziny, która króla odstąpi, lub z całym mieniem z kraju się wyniesie. Król sam potem pożałuje, iż skazał ich na śmierć. Czy powinnam, nie zwracając uwagi na

niełaskę mego pana, wziąć grzech na sumienie, ażeby spełnić miłosierny uczynek?

Aron smutnie patrzył na królowę, nie odpowiadając.

— Wiem ja, co czynię — dodała Emnilda. — Wiem, że nieposłuszną może wygnąć z przed oczu swoich. Mogę postradać dzieci, jedyne szczęście moje i jego — ale nie nakazałże Chrystus czynić ofiary z siebie, tak jak On za nas stał się ofiarą?

Zimne oblicze opata przebiegło drgnienie jakieś, widocznie tknięty był tak wielką, serdeczną i piękną ofiarą królowej. Patrzył na nią ze zdumieniem i zarazem poszanowaniem.

— Nie grzech popełnisz, ale zasługę mieć będziesz u Boga, miłościwa pani. — Lecz choć królowej, choć żonie Bolesława Wielkiego, znajdzieź się człowiek tak śmiały, coby chciał być posłusznym, wszak ten, co cię posłucha wbrew rozkazowi pańskiemu, musi życie ofiarować.

Nim opat słów tych domówił, na twarzy królowej radość zabłysła.

— Ojcze — to sprawa moja! Ja sama odpowiem za wszystkich, ja jedna będę winną.

To mówiąc, zdjęła z palca pierścień kosztowny.

— Na pamiątkę dnia tego przyjmijcie ten mały dar ode mnie. Daliście mi męstwo i uspokojenie — Bóg niech wam zapłaci. O tajemnicę proszę was, od niej zależy ich życie i moje. Czas upływa...

Opat zabierał się do „wyjścia, gdy królowa znikła z komnaty.

Noc nadeszła. Na zamku cisza panowała.

VI.

Bracia Jaksowie pod opieką królowej.

Więzienie, do którego wrzucono Jaksów, znajdowało się niedaleko od dworu, zbudowane z ogromnych balów, na wpół w ziemi skryte, zakrywały je ciężkie wrota okute, z mniejszą furką, wiodącą do wnętrza. Od strony zamku ciągnął się długi, wąski kurytarz, wzdłuż ściany widać było kilkanaście drzwi pozasuwanych drągami, prowadziły one do ciemnych, wilgotnych izb, w których siedzieli więźniowie, skazani na śmierć lub na dożywotnie więzienie, czyli na powolne konanie. Srogi obyczaj owych czasów, okrucieństwo, które pozostawiły po sobie wojny i pogaństwo, wytworzyły takie nielitościwe obchodzenie się z winowajcami. W większych izbach siedziało po kilku skazanych, w mniejszych po jednym. Gdy wyrok padł na którego, często, aby nie robić widowiska gawiedzi, tracono go w więzieniu.

W jednej z tych izb, na garści słomy, w ciemnościach, leżeli teraz Jurko i Andruszko. Znosili oni mężnie swoją niedolę, niespodziewając się już ocalenia.

Dwa razy przychodził do nich kapelan królewski, aby ich wypowiadać. W tej ostatniej godzinie otworzyły im się serca i oczy. Oba czuli się winnymi, a miłość braterska wzmogła się w nich jeszcze bardziej.

Leżąc, trzymali się za ręce i liczyli chwile ostatnie. Za każdym szmerem zdawało im się, że nadeszła pora wypełnienia wyroku. Rozmawiając po cichu, posłyszeli, że coś rusza się pod drzwiami. Przez szpary zabłysło światło, drag opadł i wszedł stróż więzienny, zwano go Rybą. Był to człowiek, którego przestraszyć się było można: wzrostu ogromnego, z głową wielką kudłatym włosem porośłą, z oczyma białymi, osadzonemi na wierzchu jak u żaby. Na gołe ciało okryty kożuchem, nogi do pasa poobwiązywane skórami. Zwykle chodził jakby senny, powoli, milcząc.

Gdy Ryba wszedł, bracia mimowolnie przytulili się do siebie—sądzili, że już po nich przychodzi.

Stróż postawił dzbanek, a na nim położył kawał czarnego chleba.

Andruszko popatrzył nań.

— A co nam potem—wszak dziś?...

Ryba zmierzył go oczami i dwa szeregi zębów białych, ogromnych, błysnęły mu z za warg, odwrócił się do drzwi; już miał, je dragiem zasuwając, gdy dał się słyszeć szept niby krótka sprzeczka.

Drag opadł, światło błysnęło znowu i powolnym krokiem wszedł opat Aron. Ryba, podniósłszy łuczywo, stał w progu.

Na widok duchownego bracia powstali. Opat powiedział, iż przychodzi z pociechą chrześcijańską, oraz z zapytaniem, czy nie mają co do przekazania rodzinie, lub może jaką prośbę ostatnią. Mówiąc to, spoglądał dziwnie znacząco na stróża.

Niezrozumiało to były dla Jaksów odwiedzi-
ny, gdyż oni już przygotowani na śmierć przez
kapelana królewskiego, jemu wszystkie swe zle-
cenia przekazali.

— Mój ojciec—rzekł Andruszko—chyba o mo-
dlitwę za dusze nasze prosić możemy.

— To obowiązek kapłański. Trudno mieć
nadzieję tam, gdzie nie pomogły prośby żywych,
ani umarłych; lecz człowiek do ostatniego tchnie-
nia nie powinien tracić nadziei.

— A któż umarły mógł prosić za nami? wszak
ludzie z grobu nie wstają — zapytał zdziwiony
Andruszko.

— Tak było. Stryj wasz Janko jechał do
króla prosić za wami, a umierając w drodze,
nakazał synowi, by go trupem zawiózł przed
króla—i trup jego mówił za wami.

Bracia zdumieni spojrzeli pa sobie.

— Cóż król na to?—spytał Andruszko.

Opat zmilczał. Jaksowie, zarzucili sobie ręce
na ramiona i w uścisku tym słyszeć było nie-
rycerski jęk boleści.

Aron stał rozczulony. Nawet Ryba wpatrywał
się zdziwiony tą miłością braterską, której nigdy
nie widział. Potrząsnął głową jakby nie rozumiał
czy nie wierzył.

Opat zwrócił się do braci ze słowami:

— Módlcie się, a miejcie nadzieję.

I szybkim krokiem wyszedł.

Ryba drzwi za nim zatrzasnął i drąg zasunął.
Zostali sami znowu w ciemnościach; słaby tylko

promyczek jakiejś nieokreślonej nadziei im pozostał.

Długo rozmawiali ze sobą, wreszcie znużeni zdrzemnęli się leżąc na słomie obok siebie. Sen mieli przerywany i niespokojny, a że w więzieniu trudno był rozróżnić dzień od nocy, nie wiedzieli, jak długo spali. W tem przebudzili się i posłyszeli w korytarzu szelest i kroki kilku ludzi. Odgłosy te zbliżały się ku ich drzwiom. Zaczęto odwalać drąg, zabłysło światło.

Bracia domyślając się nadchodzącego zgonu, jeszcze raz rzucili się sobie na szyje i uściskali. Gdy oczy podnieśli, ujrzeli izbę pełną ludzi. Byli to pachołkowie zakapturzeni, którzy milcząc wskazywali im, by zaraz szli z niemi. Ryba stał we drzwiach i ciekawie przypatrywał się przecierając zaspane oczy. Kata nie było, pomimo to bracia wyszli z tem przekonaniem, że ich wiedą na stracenie.

Czas jakiś Ryba przyświecał łuczywem, potem światło zgasło i znaleźli się na dworze wśród nocnych ciemności.

Czuli owiewające ich mroźne powietrze. Jurko spojrział w górę i zobaczył niebo gwiazdziste. Wtem pachołkowie się ścisnęli i Jaksowie ujrzeli się w jakiejś budowie ciemnej. Prowadzono ich popychając wązkami przejściami; zaskrzypiały jakieś wrzeciędzie i wtrącono ich do izby znowu ciemnej. Poczem wszyscy odeszli.

Dokoła panowała cisza głucha, tylko czasem przerywana szmerem jakby stłumionego śpiewu ludzkiego.

VII.

Król żałuje Jaksów.

W sypialni królewskiej dnia tego raniej niż zwykle słychać było ruch. Stróż przyszedł ogień rozniecić na kominie, komornicy królewscy ruszyli się, aby być w pogotowiu na zawołanie pańskie.

Na obliczu królewskiem nic dobrego się nie świeciło; gdy stróż wszedł, król siedział już na łożu, włos miał rozrzucony, zadumany był i gniewny. Zamruczał pytanie.

— Co na dworze?

Stróż odpowiedział, że zimno i wiatr się powiększył.

Bolesław zdawał się nie słyszeć odpowiedzi, nie pytał więcej. Dumął.

Od śmierci Mieszka, który z pokorą prawie bywał u progów cesarskiego pałacu — do tej chwili, gdy Bolesław stanął na równi prawie z cesarzem Niemiec, marząc o podziale z nim świata na dwoje, upłynęły dla Polski nie jak w rzeczywistości lat dziesiątki, ale jakby wieki całe. Jedna myśl owładnęła Bolesławem: stworzenia państwa słowiańskiego, tak potężnego, ażeby murem mogło stać przeciwko niemieckiej nawale.

Myśl zrodzona już w pragnieniach ojca, stała się u Bolesława celem jego życia. Imię jego było już groźnem i zniechęcającem u Niemców,

miotano nań obelgi, które jednak były jego chwałą. Wielki ten król odzyskał już Łużyce, a nie spuszczał z oczu Pomorza, Prusaków i Wendów aż po ujście Łaby. Wiedział, gdzie się co ruszyło, drgnęło, zabiło, gdzie na ratunek miał śpieszyć, lub ze słabości korzystać. Włos mu się posrebrzył w tych trudach; państwo stało jak wielki gmach, któremu dachu i wałów obronnych brakowało, by ten gmach silnym i bezpiecznym czyniły.

Młody Mieszko wprowadził się do obrony granic; dłoń miał po ojcu rycerską i silną, ale czy głową ojcu dorównał, tego ten ojciec nigdy nie był pewny. Dlatego w chwilach rozmyślań samotnych czoło zachodziło mu chmurami, bo wielki król patrzył na następcę swego jakby ze złem przeczuciem. Aby to państwo świeżo zbudowane utrzymać, trzeba było nieustannego czuwania od brzegów Dunaju aż do Bałtyku, bo na ten łup nieustannie czyhali nieprzyjaciele.

I tego dnia, jak często się trafiało, wielki król wstał z łoża posępny. Przez okienice przeciskało się światło dzienne, na kominie ogień trząsał wesoło.

Pierwszy po stróżu wszedł do sypialni stary Sieciech po rozkazy.

Król długo nań patrzył, nim się odezwał, — pierwsze jego słowo było.

— Jaksów stracono?...

Sieciech, milcząc, skłonił tylko głowę; król spojrzał nań i zamilkł. Twarz jego stała się jeszcze posępniejszą.

.... Miklasza Jakse przywołać do mnie!

Sieciech głową potrzęsnał dziwnie zafrasowany.

— Miłościwy panie, Miklasz, nie uzyskawszy tu nic, musiał według przykazania ojca stąd jechać. Wola ojca dla dziecka święta. Zakleli się Jaksowie i ich powinowaci, że progu zamku tego nie przestąpią więcej. Wszyscy ilu ich jest! — westchnął Sieciech.

Zarumieniła się twarz króla, spojrzał groźnie, ale nie wybuchnął.

Sieciech stał z opuszczoną głową.

— Pozwijcie opata Arona do mnie.

— W tej chwili odprawia ofiarę świętą...

Na to Bolesław nie odpowiedział, Sieciech wyszedł.

Weszło dwóch komorników. Nieśli ubranie i obuwie, poczęli służyć do wstania.

Król włożył tylko kozuch i stanął przed ogniem, który całą komnatę ciepłem wypełniał.

W chwilę potem ukazał się we drzwiach opat Aron.

Na jego widok twarz pańska się rozjaśniła.

— Chciałem już was widzieć ojcze. Całą noc dziwne sny mnie dręczyły. Zdało mi się jakby całe wojsko cesarza Henryka legło na mnie i zgnieść mnie chciało. Z nimi, choćby poprzysięgli zgodę i przyjaźń, pokoju nie będzie nigdy.

Uśmiechnął się opat.

— Nic nam teraz nie grozi, a król Bolesław jest dość mocny, aby się nikogo nie obawiał, nawet cesarza.

— Mocny! mocny!... — powtórzył król. — Ojcze mój, moc ta moja, jest jak sznur naprę-

żony, który co chwila grozi pęknięciem... Trwożę muszę siać, abym jej sam nie miał. Jaksów stracono?

Czuć było, że oni to, nie wojsko cesarskie byli tą nocną zmorą.

— Szkoda mi ich, ale musiałem być nieubłagany.

— Miłościwy panie, co się stało, rozważać już zapóźno...

— Gniewny byłem, gdym ich skazywał, alem słowo rzekł.

— Wola królewska już nie powrotna.

— Gniewny byłem! stało się.

— Gniew zły doradca—rzekł opat.

I jakby umyślnie zmieniając temat rozmowy, cichszym głosem odezwał się do opata.

— Dzień i noc słucham, czy nad granicami gwałt się nie ozwie. Grozą tylko mogę trzymać na wodzy napastników... Tą grozą dla mnie i dla syna mojego będzie korona królewska na skroniach. Coby papież Benedykt stracił, gdyby mnie ją dał, jak innym, którzy ani ziemi tyle, ani takiej potęgi nie mają jak ja? Synowi potrzeba korony pobłogosławionej w Rzymie, jak rycerzowi zbroi. Otto III-ci własną swą cesarską koronę włożył mi na głowę... za berło dał mi włócznie św. Maurycego... a jednak przeczą mi tytułu kóla i korony... ja ją mieć muszę! Cóż ty mówisz ojcze? — ożywając się coraz więcej, zapytał król. — Tyś najbliższym doradcą moim, tobie jednemu ufam, ty widzisz jasno, radzisz rozumnie.

— Miłościwy panie, nie przeczę, że blask korony doda tobie świetności, a siły synowi twemu, lecz czy złości i zawiści nie obudzi? Sam cesarz

Henryk będzie stawiał przeszkody w Rzymie i gdzie tylko będzie mógł.

— A ojciec święty, Benedykt, nie jestże zastępcą Chrystusa i panem, a rozdawcą wszystkich koron świata? Cesarz dał mi koronę... a przyrzekł mi ją pobłogosławioną przez papieża. Śmierć nie dozwoliła mu wykonać ślubu. Niech Boży zastępca na ziemi da mi moc dla dziecka mego.

Aron nie zaraz zebrał się na odpowiedź.

— Jest to sprawa zbyt wielkiej wagi. Rozważyć potrzeba wiele. Wy, miłościwy panie, jesteście dzięki Bogu, w pełni życia i sił—pocóż się śpieszyć. Lepiej iść do tego celu powoli i z powagą.

— A nie dość jużśmy zwlekali, rozważali, rachowali? Któż wie, kto po Henryku i Benedyckie nastąpi!

Opat po długim milczeniu odezwał się.

— Przebacz, miłościwy panie—niedość jeszcze myśleliśmy i rozważali. Wyciągnąć rękę, a niedokonać tego, co się zamierzyło, takiemu panu jak wy, nie przystało. Trzeba działać na pewno, więc rozważyć pilnie.

Bolesław zżymnął nieznacznie ramionami i zakończył, powstając.

— Więc na was, ojcie mój, składam obmyślenie środków i wykonanie.

Opat, milcząc, wyszedł do komnat gościnnych.

Nadchodziła godzina obiadu i posłuchania rannego.

Wielki gmach, w którym zastawiono stoły dla mnogich gości, pełny był ludzi. Po strojach można było poznać, że przybyli z różnych krajów.

Pomiędzy gośćmi gospodarzyli starsi dworzanie królewscy, wszyscy odznaczali się ciężkimi złotymi łańcuchami na szyjach i laskami w rękach.

Osobno w pierwszej komnacie stała królewska družyna. Tę składali poważni mężowie, w wojnach zasłużeni, a było ich zawsze dwunastu. Oni mieli zaufanie pańskie, wiedzieli tajemnice innym zakryte, oni wraz z opatem tynieckim najbliżej stali tronu. Im tylko wolno było zasiadać u pańskiego stołu.

Wtem zrobił się ruch, goście rozproszeni w nieładzie zaczęli ustawiać się w grupy, gwar umilkł...

W oddaleniu ukazał się król, okryty sobolą szubą, w kołpaku na głowie, u pasa wisiał ów mały miecz z rękojeścią z kości słoniowej. Był to ów miecz Szczerbiec; król laskę trzymał w ręku. Szedł wolno, niekiedy głową skinął, lub oczami dał znak jakiś.

Pacholę strojne niosło za nim jego drugi miecz wielki. Za królem postępował cały jego dwór służebny.

Przytomni witali nadchodzącego pana niskim pokłonem, z rękami zwieszonemi ku ziemi. Król mierzył wszystkich bystrem okiem; zdawało się, że żadna twarz nie uszła jego uwagi.

Gdy przystanął i rozpoczął rozmawiać z kimś z przybyłych, we drzwiach ukazała się królowa Emnilda z całym szeregiem panien dworskich. Królowa w ciemnej, prawie zakonnej szacie, miała na sobie tyle tylko klejnotów, ile nakazywał ich nosić zwyczaj i godność królewska.

Obok niej postępowała dumnym krokiem Ryksa, żona Mieszka, pani cesarskiej krwi, córka Ezzona, palatyna Renu, siostrzenica cesarza Ottona, w purpurowej powłóczystej sukni, złotem haftowanej, jaśniejąca klejnotami i najpiękniejsza z orszaku niewiast. W jej surowem wejrzeniu odbijały się duma, rozum i wola niezłomna.

Dalej szła jedna z córek królewskich, Matylda, w wianku na głowie i płaszczu niebieskim, ozdobionym klejnotami. Wszystkie niewiasty w orszaku królowej były też strojne w jedwabie, złoto i drogie klejnoty, gdyż tego wymagał ówczesny obyczaj. Niektóre były tak obciążone kosztownościami, że z trudnością unieść je mogły.

Gdy dał się słyszeć szelest sukien niewieścich, król przerwał rozmowy i powitania. A może i rad był z tego, bo ciężko mu było na duszy, trudno wtedy zebrać się na słowo i czoło rozchmurzyć.

Tuż za paniami szły pacholeta, niosąc misy z potrawami, dzbany pełne napojów, oraz miednice i ręczniki.

Król, skinąwszy głową gościom, podążył na swe miejsce przy królowej.

U królewskiego stołu siadały panie pokrewne rodzinie królewskiej, lub pochodzące z innych rodzin panujących; tu była przyjeta córka markgraфа Ekarda, Oda, Niemka nielubiana przez królowę.

Całe zebranie było jednak dziwnie smutne i milczące, tylko Oda uśmiechała się, jakby na przekorę.



...Król szedł przypatrywać się turniejom... str. 52.

W tej chwili ukazał się opat, wszyscy wraz z parą królewską wstali. Opat rozpoczął modlitwę. Król milczał ciągle.

Proste potrawy roznoszono obficie, wypróżniano misy, kubki z miodem i winem krążyć zaczęły. Król spełniał je też chętnie, lecz dopiero pod koniec obiadu rozweselił się nieco. Po obiedzie był zwyczaj, że kobiety wraz z królową powracały do swoich komnat. Król zaś szedł na podwórcę zamkowe, aby przypatrywać się turniejom, które młodzież urządzała.

VIII.

Ksiądz protonotarjusz.

W małej izdebce narożnej siedziało dwóch ludzi, z ubioru można było wnosić, że byli duchownymi. Jeden z nich przygarbiony, twarz miał żółtą, zasepioną, napiętnowaną jakąś zgryźliwością. Zaciśnięte usta wyrażały skryte szyderstwo i nieubłaganą złośliwość. Siedział skulony u stołu, na którym leżały przybory do pisania. Ogromne, wyschłe, posmolone ręce trzymał ściśnięte, podpierając niemi brodę.

Naprzeciw siedzący człowiek wyglądał na podróżnego, przybywającego z dalekiej drogi; przy nim leżały płaszcz czarny, czapka i kij krzywy.

Był to mężczyzna w sile wieku, okryty szatą duchowną, lecz nie wyglądający na skromnego kapłana. W owych czasach nie było osobliwością

widzieć dostojników kościoła w zbroi, przy mieczu, na koniu lub łowach. Nieraz biskupi, jako panowie wielu państw poddanych kościołowi, chodzili na czele wojsk na ich obronę.

Mężczyzna, który siedział naprzeciw zgarbionego księżyny, zdawał się być zakonnikiem, miał bowiem na sobie habit OO. Benedyktynów.

Izba, w której siedzieli duchowni, była uboga, jak cela mnisza.

Dwaj rozmawiający pochyleni byli ku sobie.

— Mówicie, mój ojcie—szeptał skulony księżyna, — że was tu przysłał najczcigodniejszy mój dobroczyńca, biskup merseburgski. Przewielebny ten zwierzchnik zwykle opatruje swoich posłów jakimś znakiem, dla wiarogodności.

Na te słowa mnich sięgnął za suknię i dobył mały zrzzynek pergaminu, ukazując go pytającemu.

Na pasku tym żadnego pisma nie było, tylko na wosku wyciśnięta pieczęć, której przypatrując się, księżyna głowę skłonił i oddał siedzącemu mnichowi. Ten, przysunawszy się do księdza, położył mu rękę na ramieniu i szepnął:

— Widzicie więc, że ze mną możecie mówić otwarcie i ufnie. Nie jest mi nic tajemem, wiem, że służycie temu... królowi, abyście mogli tym sposobem skuteczniej służyć cesarzowi.

— Na mnie nie zawiedziecie się... Nie! ja też krwią i sercem jestem cesarskim sługą wiernym. Bolesław to wilk nienasycony; póki on żyje, cesarstwo nie będzie mieć spokoju.

Mówiąc to, mnich zapalił się i pięścią w stół uderzył.

Ksiądz drgnął, jakby ten ruch przypomniiał mu czyjś obyczaj.

Nastąpiło milczenie. Ksiądz powiódł kościstymi palcami po czole.

— Źle jest u nas... źle! Chytry ten wąż rządzi się rozumnie, a chytrzejszy od niego opat tyniecki Aron doradza i prowadzi go. Napróżno staramy się obudzić w królu nieufność do opata, który czyni wszystko, a ja cóż mogę?... Oni chcieliby mieć swój kościół u siebie, z Merseburga nie radzi odbierać rozkazów, jak cesarz postanowił. Katedry biskupie i arcybiskupie stanowią samowolnie, pod pozorem, że Otto III na to pozwolił. Już zerwali i tę nitkę, która ich z cesarzem wiązała. Jawnem jest, że Bolesław nie chce być w niczem zależnym od cesarstwa. Duma jego i samowola sięga daleko.

— A wszystko to na okrucieństwie ugruntowane — przerwał wybuchając mnich. — Wiecie przecie, jak postąpił z macochą Odą i jej synami, a swymi przyrodnimi braćmi, z którymi według woli ojca musiał podzielić się krajem, przysługiwało mu tylko prawo zwierzchnictwa nad nimi. Trzy lata trwała walka, a wreszcie wygnał macochę wraz z synami, aby zawładnąć całym krajem niepodzielnie.

Ksiądz, słuchając, westchnął.

— Cóż się z nimi dzieje?—zapytał.

— Oda żyje do dziś w klasztorze w Quedlinburgu, Mieszko, najstarszy, jest przy cesarzu, lecz i tam imię swoje i dostojność ukrywać musi; drugi włożył suknię zakonną, trzeci tuła się po Niemczech, czekając pory dogodnej, aby powró-

cić do kraju. A lata upływają i nic nie przynoszą z sobą.

To mówiąc, obcy westchnął i załamał dłonie.

Wzburzenie przybyłego posła z Niemiec obudziło ciekawość księżyny; coraz baczniej począł się wpatrywać w gościa. Ten, przejęty zgrozą i nienawiścią do Bolesława, zapalał się coraz więcej.

Książdz nieprędko odpowiedział, wreszcie rzekł.

— Sam on sobie może dół wykopie. Sam on czyni sobie nieprzyjaciół, mając ich i tak już dosyć.

Posel pochylił się ku mówiącemu, chwytając każde jego słowo.

— Wszystko się składa na zgubę jego, los chciał, aby można rodzina Jaksów rzuciła się na swawolę. Przywykli podczas wojen do gwałtów, teraz podczas pokoju napadli i zamordowali kupca jakiegoś. Król ich kazał pościnać... Z Jak-sami są spokrewnione rody możne... wszyscy gniewni, pierzchnęli... Strata niemała! Prosiła za nimi królowa, prosili inni... nie pomogło nic... Litości nie szukać w tem sercu. Jedna tylko rzecz wątpliwa — dodał po cichu. — Kazał ich ściąć... ale czy ich ścięto?... Badałem dobrze, nie wiadomo, gdzie i kto spełnił wyrok królewski. Nuż odważono się ich ocalić? króla okłamać. Ośmieliła się chyba to uczynić tylko ta miłosier-na królowa... A jeśli ona to uczyniła... tajemnica się nie utrzyma... król jej nie przebaczy.

Zatarł ręce.

— Jakież mogą być skutki? — szepnął mnich.

— Odrzucenie królowej za przeniewierstwo,

— A potem postaramy się, aby objęła panowanie wierna poddanka cesarza, Oda, córka markgraфа Ekarda.

Tak rozpoczęta rozmowa stawiała się coraz poufniejszą.

Skulony księżyna, którego znano na dworze pod imieniem księdza protonotarjusza, Petrka, był jedynym na dworze, który umiał pisać (z wyjątkiem duchownych, przebywających na dworze). Był on tu niewidomym szpiegiem niemiec-kim, żmiją na łonie Bolesława, ogrzaną jego łaskami, zazdrosny wpływu opata Arona, knujący na jego zgubę.

Po długich szeptach ksiądz Petrek zupełnie upewniony pokazaną mu pieczęcią, jednak opamiętawszy się, że nie wiedział z kim rozmawiał, zapytał:

— Mój ojczy, a wy skąd przybywacie? Co was tu do nas przywiodło? Któż wy jesteście?...

Bolesny uśmiech przeleciał po ustach mnicha, nachylił się do księdza i rzucił mu w ucho jedno słowo. Musiało ono mieć wielkie znaczenie, gdyż protonotarjusz zerwał się, załamał ręce i zawołał:

— Na rany pańskie, jak mogliście przekroczyć próg tego zamku?

— We krwi mamy zuchwalstwo, twarz moja, choć ma braterskie podobieństwo do Bolesława, odmieniła się przez tyle lat na wygnaniu; zresztą i suknia mnisza by mnie obroniła. Chciałem tu własnymi oczami zobaczyć, czy możemy rachować kiedy na powrót do swej ojcowizny.

— Na miłość boską uchodźcie zaraz!— zawołał ksiądz Petrek—tu łatwo was kto może poznać.

— Pójdę do kościoła odmówić pacierze nie-szporne, a potem w drogę.

— Bóg z wami, idźcie w pokój!

Ksiądz Petrek, oprócz obowiązków pisarza, spełniał też na zamku inne duchowne posługi, nie tyle może z gorliwości, ile aby się wszędzie wcisnąć i dowiedzieć o wszystkim. Zwykł był obchodzić więzienie, niosąc pociechę winowajcom, apostołował między wojakiem oraz wśród przesiąklej pogańskimi przesądami czeladzi. Nie było więc dziwne ukazanie się księdza Petrka w którymkolwiek z zakątków zamkowych. Nie zdziwiło też nikogo, gdy ksiądz-pisarz, jak go tu powszechnie nazywano, tegoż dnia wieczorem znalazł się u wejścia do ciemnic.

W korytarzu więziennym przy progu siedział stróż Ryba, a naprzeciw niego kat. Byli oni zdawna w przyjaźni ze sobą.

Zobaczywszy księdza, obydwaj natychmiast powstałi.

Ksiądz zwrócił się do kata.

— Gdzie Jaksowie siedzą?—zapytał.

Ryba i kat popatrzyli na siebie.

— Ano ich jeszcze dodnia wyprowadzono na stracenie—odezwał się Ryba.

— Stracono ich?—spytał ksiądz.

Ryba ramionami ruszył, a kat się odezwał:

— Jam ich nie ścinał, ni wieszał... co ja wiem?

— A któż?

— Kto to wiedzieć może!—rzekł Ryba.

— Gdzież ich poprowadzono? Za okopy? —
badał ksiądz ciekawie.

— Ciemno jeszcze było, nie wiem—rzekł Ryba powoli.—Wieszają i ścinają za okopami.

Ksiądz zapytał jeszcze o kilku więźniów dla niepoznaki, skinął drabom głową i odszedł.

Ryba wraz z przyjacielem siedli na pieńkach. Stróż, śmiejąc się jakby do siebie, odezwał się:

— Co ja mam gadać to, czego nie powinienem wiedzieć!

A kat mruknął:

— A i mnie co do tego? Chyba tylko ich odzieży mi żal, co by mi się była dostała. Wąchałem ja dobrze, gdzie ich tracono. Nieprawda! nie tracono i nie pochowano. Nieprawda! Licho wie, co się z nimi stało? jakby ich ścinać mieli, to któżby lepiej to zrobił nade mnie?

I pochyliwszy się do stróża, mówił cicho i poufnie.

— Jak ich stąd wyprowadzili... ja poszedłem za nimi. Nie w ślad, nie głupim. Szedłem zdaleka, na śniegu było znać stopy. Dworacy królowej zawiedli ich do księzego domu, do izby na tumie. Tam ich posadzili.

Stróż przerażony zawołał:

— Tst... ty głupi... nie plótlbyś! A tobie co do tego!? To pewnie stało się z rozkazu króla i pana. Gębę stul i milcz!

W czasie tej rozmowy poufnej ksiądz Petrek szedł ku komnatom królowej. Otworzył sobie furkę, pomyślał chwilę i nieznacznie kołując pod sieniami, dostał się w głąb dziedzińca. Chód jego był tak ostrożny i cichy, iż trudno go było spostrzedz. Napotkawszy drzwi uchylone, zapukał leciuchno i wsunął się do komnaty, w której sły-

chać było szmer głosów niewieścich. W środku stał duży stół na nogach krzyżowych, zarzucony przyborami do robót kobiecych. Wokoło stołu kręciło się kilkanaście różnego wieku dziewcząt, które widać dopiero od krosien powstały.

Były to służebne królowej.

W chwili, gdy ksiądz wchodził, rozmowa ucichła. Te, które siedziały przy kądzieli, powstały i zbliżyły się z pokłonami do ucałowania ręki kapłana.

Po odbyciu tej ceremonji, ksiądz przeżegnał się i zaczął odmawiać modlitwy. Wszystkie dziewczęta poklekły i powtarzały. Gdy modlitwy się skończyły, ksiądz przemówił do kilku z powagą, a potem zwrócił się ku dalszym komnatom.

W trzeciej znalazł Teodorę Sieciechównę, zapłakaną i zadumaną, tak, że nie słyszała, gdy ksiądz wchodził. Złękła się i krzyknęła, zobaczwszy go przed sobą. Tu ksiądz Petrek stał się jeszcze łagodniejszym; twarz mu się wypogodziła.

— Dziś wszędzie łązy spotykam na drodze. Cóż to za przyczyna?

Sieciechówna zarumieniła się.

— Nie... ach! nie, mój ojciec... Czasem niewiadomo czego się płacze — rzekła, oczy spuszczaając.

— Choćby kto sam nie wiedział, to drudzy się domyślą—odezwał się ks. Petrek.

Dziewczę zarumieniło się jeszcze mocniej, ale nie mając ochoty do zwierzania się, zamilkło.

Ksiądz pokłonił się i poszedł dalej, nie czyniąc najmniejszego szmeru.

Sieñ dzieliła tę komnatę od mieszkania Ody, córki markgraфа Ekarda. Ksiądz wsunął się tu i zastał Odę siedzącą nad krosnami, zamyśloną. Jako współrodak i codzienny gość u markgrafównej, usiadł i rozpoczął cichą rozmowę po niemiecku.

Markgrafówna nie należała do służebnych królowej, była tu gościem. Charakter i wychowanie czyniły ją odważną i śmiałą, z rodu czuła się panią.

— Cóż mi przynosicie mój ojciec? — zapytała.

— Ja z mojej celi coś mogę przynieść prócz modlitwy.

— Dziękuję za nią... ja także już odmówiłam modlitwy wieczorne. Nie wiecie co nowego o królu? Miłościwy pan smutny jest ciągle.

— Na cóżby nasz pan potężny miał się skarżyć?—udając dobrodusznego, odezwał się ksiądz Petrek.

— Chciał słusznie ukarać tych łotrów... coś myślicie, ojciec, że spełniono jego rozkaz?

Ksiądz udawał zdumionego.

— Nieprawda!... oszukano go, okłamano... ich wykradziono, oni żyją, aby się mścili... a kto to uczynił? Wasza święta królowa. Tak... ona... Cóż wy na to?

— Ja się zdumiewam, przerażam, milczę... To nie może być, któżby śmiał..

— Nie mówcie wy o tem nikomu— szepnęła — dojdę ja tego, jestem na śladzie.

Ksiądz Petrek poszeptał coś cicho... wysłuchiwała go, skinęła głową i pokorny księżyna szedł dalej.

Teraz z kolei zbliżał się do pomieszkania królowej Emnildy. Twarz jego już dwa razy zmieniła, po raz trzeci jeszcze się przeobraziła, przybierając wyraz łagodności i łudzącej pokory. Gdy podniósłszy zasłonę, stanął w progu komnaty, miał prawie pozór ubogiego, nieśmiało przechodzącego po jałmużnę. Królowa stała w pośrodku komnaty, jakby na modlitwie, z rękami złożonemi. Na jej twarzy malował się spokój i słodycz wielka.

Witając królowę, ksiądz ugiął się prawie do samej ziemi. Postać jego wyrażała wielką pokorę.

Królowa Emnilda, pobożna i święta pani, miała szczęśliwy instynkt przeczuwania ludzi. Pomimo, że sobie to wyrzucała, jednak czuła do niektórych osób wstręt nieprzezwyyczajony. Przez pobożność szanowała wszystkich duchownych; jednak ten uniżony, cichy, posłuszny na skinienie ksiądz Petrek, budził w niej jakąś nieufność i obawę. Nie lubiła go. Dlaczego?—tego sama sobie wytłomaczyć nie umiała, nie dał jej do tego żadnego powodu.

Obawiała się często nazbyt surowego opata Arona, miała dla niego jednak sympatję i szacunek; ksiądz Petrek, choć padał przed nią, budził jakiś wstręt i trwogę.

Ksiądz-pisarz ze złożonemi rękami na pierśsiach, kłaniając się uniżenie, zbliżył się do królowej.

— Co serce miłościwej naszej pani musiało wycierpieć pod te czasy, ja to czułem najlepiej!... Ciężkie to zaprawdę były chwile...

Badający wzrok wpił w królowę, która stała zdala milcząca. Po długim przestanku rzekła:

— Miły księżu, powinniście byli mnie wspierać modlitwami swemi. Tak jest, cierpiałam wiele, pragnęłam oszczędzić strapienia królowi, a panu memu miłemu... lecz, woli Bożej trzeba się poddać we wszystkim.

Westchnęła i nie rzekła nic więcej.

— Miłościwa pani — odezwał się ksiądz Petrek — któż to wie, ażali ich ocalić nie było można? — a ciszej dodał — w jakikolwiek sposób...

Usta królowej zadrżały, jakby chciała coś powiedzieć, lecz się wstrzymała. Westchnęła znowu; ksiądz badał ją ciągle przenikliwym wzrokiem.

— Można ich było ocalić... przechować, a w dobrą godzinę potem, gdy już wszelki gniew ostygnie, znaleźć przystęp do króla. Któż skuteczniej nad was, miłościwa pani, mógłby wyjednać miłosierdzie im i tym, co rozkazom dobroczynnym staliby się posłuszni.

Królowa Emnilda drgnęła nieznacznie i dodała po cichu:

— Mylisz się, ojcze mój, przypisując mi władzę i moc jakąś nad królem.

— Miłościwy i sprawiedliwy król nasz, czcząc cnoty swej małżonki, z nią najszczęśliwszym się czuje — odparł ksiądz.

— Niech mu we wszystkim Bóg błogosławi — odrzekła.

— Dziś miłościwy pan chmurniejszy pono niż zwykle — podsunął ksiądz cicho i skromnie. — Któż może obliczyć skutki. Rodzina można, liczna,

spowinowacona z najpierwszymi domami w kraju. Widzieliśmy nieraz przykłady buntów, wynikłych z mniejszych obraz niż teraźniejsza.

— A i ja... i ja też niepokoję się, ojcie mój. Ale modłę się i mam w miłosierdziu Bożem nadzieję. Wszechmocny Pan cuda czyni!...

Księdzu Petrkowi błysnęły oczy, ostatniemi słowy królowa prawie się zdradziła. Dla niego rozmowa była skończoną, wynosił z niej przekonanie, że Jaksowie byli ocaleni za sprawą królowej. Skłonił się więc z tą samą pokorą i posunął ku drzwiom komnaty.

Z dworu królowej wszedł w dziedzińce królewskie; przeszedłszy zgromadzone tu kupki ludzi, rozstępujących mu się z uszanowaniem, ksiądz Petrek dostał się do wrót, wiodących na małe podwórko i powoli udał się do swej celi.

U drzwi zastał człowieka niepocześnie wyglądającego, ubiór jego oznaczał komornika pańskiego, który, zobaczywszy nadchodzącego księdza, pośpieszył do pocałowania ręki.

Ksiądz Petrek wprowadził oczekującego za sobą do celi. Tu było ciemno zupełnie, ogień wygasł na kominie. Ksiądz uderzył w ścianę — nadbiegł chłopak z łuczywem, aby rozniecić wygasły płomień.

Dopóki chłopak był w celi, komornik milczał, spoglądał tylko na księdza. Dopiero gdy drzwi zamknęły się za chłopcem, pisarz przystąpił do komornika i zaczęła się cicha rozmowa.

— Cóż tam z tobą się dzieje Harno?

Zagadnięty począł ciężko wzdychać i pocałował księdza w rękę.

Ksiądz Petrek przysunął się do niego bliżej i zapytał cicho:

— Co mówił król Ugrom, nie wiesz?

— Groził, nie tylko im, ale wszystkim. Zły był dziś bardzo, aż trwoga ogarniała... Drżeli wszyscy.

— Pytał kogo o Jaksów?

— Nie wiem.

— Gdzie ich stracono?

— Mówią, że za okopami.—Sawasz i Dudziec widzieli w tem miejscu ogromną kałużę krwi.

Zdziwiony ksiądz Petrek aż się cofnął, brwi namarszczył.

— Możeż to być?!

— A pewnie! —dokończył Harno.

— A któż ich stracił, bo nie oprawca więzienny.

Komornik zastanowił się i odrzekł:

— Pewnie uprosili sobie kogo z rycerzy, aby nie ginąć z ręki kata... i tę łaskę im wyświadczone. że ich ścinał kto ze swoich... Ten, co podjął się tego przez miłosierdzie, chwalić się tem nie będzie...

Zamyślił się ksiądz Petrek; wydało mu się to przypuszczenie nie bardzo prawdopodobnem.

— A byłże kto przy traceniu?...

— Nie wiem. Pewnie umyślnie spełniono to dodnia, aby uniknąć ludzkich oczu... ale... nie wiem...

— E! ty bo nic nie wiesz! — z wyrzutem zawołał ksiądz gniewnie. — A ciała? co zrobiono z niemi? Powinny być pogrzebione na świętej ziemi...

— Pewnie rodzina zabrała — odrzekł zafrasowany Harno. — Ojciec mój, trudno mi bo wiedzieć wszystko... Na dworze nikt o tem mówić nie chce, Jaksowie mieli wielu pokrewnych i przyjaciół.

Ksiądz przysunął się prawie do ucha swojego sługi.

— Wiesz, na dworze tu różnie głoszą... rozumiesz... Są i tacy, co twierdzą, że Jaksów nie stracono, że ich tylko gdzieś przechowano, albo ułatwiono ucieczkę.

Zagadnięty oburzył się tem przypuszczeniem.

— A kałuża krwi? — zawołał. — To nie może być, król kazał..

— Dojdźże mi ty tego, kto takie baśnie sieje. Jesteś, nie przeczę, posłuszny i pokorny, ale nie umiesz nic wyszperać.

— Księżu dobrodzieju, i wół nad siłę nie pociągnie — całując księdza w rękę odrzekł płaczliwie Harno: — Ja ciągnę z całej siły...

— Śledź, dowiaduj się, słuchaj, podpatruj... Daję ci to jako pokutę za grzechy — rozumiesz?

Harno wydobyl garsteczkę drobnych pieniędzy — ków srebrnych, cienkich jak blaszki, które naówczas bito we Wrocławiu, i księdzu na dłoń zsywał, znów ją całując.

— Ojciec dobrodzieju, kilka groszy na mszę za biednego grzesznika.

Ksiądz przyjął i kończąc rozmowę, dodał:

— Jutro abyście mi koniecznie znaleźli świadków tracenia, aby zamknąć gęby plotkarzom... żebyście wiadomość o tem przynieśli!

Komornik popatrzył na księdza, długo milcząc, wreszcie gdy ksiądz nic się nie odzywał, powstał, jeszcze pocałował księdza w rękę i wyszedł.

IX.

Na pustelni. Tajemniczy mnich.

Król Bolesław, spędziwszy kilka posepnych dni beczynnie u ogniska, rozruszał się nagle, oznajmiając nazajutrz łowy. Zima ostra była i śnieżna, zwierz się zdradzał, zostawiając za sobą ślady. Król, choć wiekiem ocieżały, do myśliwstwa był nawykły; podczas pokoju zastępowało ono wycieczki wojenne, nie dawało gnuśnieć dworzanom i licznej młodzieży, która go otaczała.

Tuż za miastem rozpoczynały się puszcze, rozgałęziając się na wszystkie strony. Wszystkie one wiązały się ze sobą, tak, że raz zapuściwszy się w nie, całą prawie Polskę przejechać niemi było można.

O brzasku dnia ruszono z nad Cybiny. Król wydał rozkazy, aby lasami kierowano się ku Gnieznu.

Za okopy wyjechano stępą. Nagle koń królewski chrapnął i rzucił się w bok. Król zdziwiony spojrzał wkoło siebie i spostrzegł na śniegu kałużę zastygłej krwi. Twarz królewska stała się jeszcze posepniejszą, dworzanie szeptali cicho między sobą:

— Jaksów krew!

Wtem na skraju polany porwał się jelen. Bolesław cisnął za nim oszczepem, ale kuty pocisk osunął się tylko po grzbiecie zwierza. Jeleń pomknął rącho, król rzucił się za nim pogonią.

Ścigając lekko zranionego zwierza, oddalił się król od towarzyszy, co nierychło spostrzegł, aż ujrzał się samotny w głębi puszczy. Otaczał go mrok wieczorny, w dali zaś migotało blade światółko. Zbliżając się ku niskim drzewom chaciny, usłyszał z głębi głos drżący:

— Niech będzie pochwalony!

Wszedłszy do izdebki, król spotkał się u progu ze starcem przygarbionym, o długiej, siwej brodzie.

— Podróżny jestem — rzekł król — zbłąkałem się w lesie; dajcie mi się ogrzać i spocząć u siebie.

Nic nie odrzekł staruszek, tymczasem król rozglądał się w ubożuchnej izdebce, której całą ozdobę stanowił krzyż wielki, czarny, na ścianie, i drugi, mniejszy, na stoliku, przy nim książeczka pergaminowa z modlitwami.

— Kto jesteście, ojcie? — pytał król.

— Zakonnikiem jestem, z reguły św. Romualda — odrzekł pustelnik.

— I tak żyjecie tu, na puszczy, bez kościoła i ołtarza?

— Mam-ci ja tu swój ołtarz, a chcecie, to wam pokażę.

To mówiąc, starzec, z płonąca lampką glinianą w ręce, podniósł na ziemi leżące w rogu izdebki drzwi; w otworze ciemnym ukazało się kilka schodów, po których zstąpili obaj do ciamsnej krypty.

Zdumionym oczom króla ukazał się prosty ołtarzyk z krzyżem pośrodku i dwoma lichtarzami drewnianymi. Na słupach wisiało ubogie odzienie kapłańskie, do mszy potrzebne.

Po chwili powrócili do izdebki; pobożny starzec przygotował dla króla ubogie posłanie i zagrzał wino.

— A skądże macie tu wino?—zapytał król.

— A to ojcowie z Trzemeszna przysłali mi aż dwie faszki do mszy świętej.

— Za każdą kroplę oddam wam dzbanek!—wykrzyknął król.

— O! nie bądźcie tak rozrzutni! — uśmiechnął się stary. — A nużby mi to bogactwo tak się nie poszczęściło, jak ów dar króla Bolesława dla mojej braci w Trzemesznie, których pomordowali zbójce dla ofiarowanej im przez króla bryły złota!

— A!—krzyknął, zapomniawszy się na chwilę, król—ta nieszczęsna bryła złota do końca życia na piersiach ciążyć mi będzie!

— Jesteś więc królem Bolesławem!—wykrzyknął, lekko skłaniając głowę, pustelnik — niech ci Bóg błogosławi. Wszyscy modlimy się za ciebie, panie.

To rzekłszy, podał Bolesławowi garnuszek z grzanem winem, które ten pochłonał chciwie, poczem ułożył się na przygotowanej pościeli.

Ale spać nie mógł. Pustelnik udał się do podziemia na nocne modły. Już i powrócił z nich, a sen nie miał się potężnego władcy.

Przywołał król do siebie pobożnego starca, i zaczęła się długa, nocna rozmowa. Bolesław całe dzieje żywota swego przed starcem wyłożył.



„Zanimonym oczom króla ukazał się prosty o'tarzyk...

Opowiadał o dziedzictwie swoim, o rodzicu swoim, co światłem wiary prawdziwej siebie i naród swój oświecił, o matce, którą stracił dziecięciem, o macosze, Niemkini Odzie, córce margrafa Dyrmara, o braciach przyrodnych, którzy na starszego niechętnem okiem i zazdrością patrzyli.

Ojciec nieraz klepał go po ramieniu i do ucha szeptał:

— Przy tobie będzie stolica, władza i zwierzchnictwo.

Ale gdy Mieszko zmarł, wydzierać sobie jęli ojcowską dziedzinę: trzech synów Mieszka z Ody i dwóch jego bratanków podzielili się krajem, Bolesławowi zaledwie Poznań zostawiono.

A tu nieprzyjaciele zewsząd grozić zaczęli, gotowi w gruzy zwalić Mieszkowe budowanie, lud do pogaństwa wracał, waliło się wszystko.

I przyszła chwila, że Bolesław dla ocalenia dzieła ojcowskiego kazał precz pójść braciom i bratankom. A choć czyn ten błogie wydał owoce, ciężko mu i dziś jeszcze na duszy.

I starości nie ma król spokojnej. Trapi go bojaźń, czy syn jego Mieszko będzie umiał udźwignąć ciężar władzy w ogromnem państwie, czy ostoi się budowa, którą wzniósł z takim trudem, czy wrogowie nie rozszarpią kraju tego, nie zniszczą dzieła jego, wielkości i potęgi.

I prosił król świętobliwego męża, by mu przyszłość przepowiedział.

— Nie w mojej to mocy — rzekł pustelnik — Bóg nie chce, byśmy wiedzieli losy przyszłe.

Już świtało, gdy u lepianki hałasy jakieś słyszeć się dały. Król zbliżył się ku okienku i za-
dał w róg, co mu na piersi wisiął. Na ten głos
odpowiedział z zewnątrz okrzyk wesoły: to
orszak królewski z radością witał swego pana.

Wysłuchawszy mszy świętej, odprawionej przez
pustelnika, i otrzymawszy odeń błogosławieństwo,
król ruszył ze swoimi w dalszą drogę.

Cieho przejechawszy kawał puszczy, jadący
stanęli na wielkiej polanie. Orszak królewski po-
dzielił się na kilka oddziałów, rozstąpił szerzej.
Król pozostał w środku.

Ale nie powodziło się jakoś myśliwym.

Pod jakąś niefortunną wróżbą rozpoczęte ło-
wy wcale się nie wiodły. Zwierz znajdował
zawsze przesmyki, któremi uchodził. Łowcy źle
obejmowali knieje. Trafiano tylko na drobną
zwierzynę, która nikomu nie robiła uciechy. Bo-
lesław, który zwykł był się zapalać, teraz jechał
obojętny. Pięć godzin może tułano się po lesie,
szczęścia próbując napróżno. Znużenie i głód
silnie dawały się odczuć.

Król zniechęcony kazał zwrócić ku Gnieznu,
aby tam stanąć na noc.

Było jego obyczajem, że gdy do Gniezna
przybywał, najpierw szedł na grób św. męczen-
nika Wojciecha i matki swej Dąbrówki; tam
trwał czas dość długi na modlitwie. Wiedząc
o tem, duchowni i dworzanie królewscy, gdy się
uroczyste modły skończyły, ustąpili wszyscy, zo-
stawiając króla. Doznawał on tu dziwnego uczu-
cia, jakby z duchem tego świętego i pośrednika

łączył go jakiś związek tajemniczy, jakby od zwłok tych płynęła pociecha, otucha i natchnienie. Składał tu troski i odchodził mężniejszym. Przyklękawszy, z głową spuszczoną, ów zwycięzca w tylu krwawych zapasach, zdawał się być pokornym pokutnikiem.

W kościele nie było nikogo, panowała cisza, tylko z za słupa, niepostrzeżony, wpatrywał się w klęczącego mnich; oczyma nienawistnemi zdawał się napawać widokiem pogrążenia i smutku, malującego się w postawie króla. Nieruchomy stał tak ściskając pięści, kilkakroć uczynił już krok naprzód, ale się cofnął.

Z piersi króla wyrwało się głębokie westchnienie; podniósł głowę i wpatrzył się w ciemną głąb kościoła. Oczy jego oswojone już z ciemnością spostrzegły ową czarną postać duchownego.

W tych ciężkich myślach, które go obarczyły, rad był wezwać na pomoc i radę tego kapłana dziwnym trafem zesłanego. Skinął więc ręką ku cieniowi mnicha, aby przystąpił. Mnich zadrżał, zawahał się, lecz prędko zarzuciwszy na głowę czarny kaptur, wolnym krokiem przystąpił ku trumnie.

— Obcy tu jesteś? — zapytał król cichym głosem.

— Pielgrzymem jestem... — odparł ten głosem drżącym.

— Znacie mnie?

— Wiem, żeście panem i władcą tego kraju...

— Jeśli pielgrzymem jesteście, rozkażę dać wam zasilek na drogę, a proszę o modlitwę...

Mnich stał milczący.

— Zasiłku żadnego nie potrzebuję... przysięgłem na ubóstwo, a modlitwy moje nie przyniosą ulgi królewskiej duszy twojej, jeśli sam nie zrzucisz brzemienia, co na niej cięży...

Tylko od kapłana zniósł Bolesław mowę taką cierpliwie... westchnął.

Mnich jakby z sobą walczył, po chwili odezwał się znowu:

— Choć królem jesteś, kajać ci się trzeba... bo tam, gdzie nas sądzą wszystkich, żadna korona nie idzie na szalę... a purpura płam nie osłoni... Bóg mi dał, że pielgrzymując po świecie, spotykałem ofiary twego gniewu... Modlą się one za ciebie, lecz by zemstę niebios ściągnęły...

Drżący głos mnicha coraz się podnosił; król, wlepiwszy weń oczy, zdumiony, słuchał go w niemem podziwieniu.

— Mnich jestem, suknia, którą noszę, prawdę mi mówić każe... Kajać ci się, krzywdy nagrodzić potrzeba... bez tego nie znajdziesz spokoju duszy, ani u tego grobu, ani w świątyni Pańskiej, ani w życiu, ani przy zgonie...

To mówiąc, mnich szybkim krokiem oddalił się w głąb kościoła.

Gdy Bolesław podniósł się z klęczek i obejrzał wokoło, było pusto, tylko przy zakrystji stał jeden z miejscowych kapłanów, który, widząc króla powstającego z klęcznika, pośpieszył do niego.

Bolesław stał blady, gniewny i wzruszony.

— Kto był ten mnich, który śmiał przerwać mi modlitwę?

Kapłan nie wiedział co odpowiedzieć.

— Kto był i skąd ten mnich obcy, który pozostał w kościele i przerwał mi modlitwę?— powtórzył król, zbliżając się ku wielkim drzwiom, gdzie czekał cały dwór jego.

— Nie wiem, miłościwy panie— odparł ksiądz, zalekniony.— Przybywa tu pielgrzymujących wielu. Był też tutaj dziś jeden mnich, który opowiadał się, jakoby szedł z klasztoru w Korbei...

— Szukajcie go i do mnie na gród przyprawadźcie, chcę mówić z nim.

Ksiądz pokłonił się przed królem i wrócił do kościoła.

Dwór otoczył króla; Stoigniew namiestnik gnieźnieński, jako gospodarz, pierwszy witał pana niskim pokłonem. Był to powiernik i ulubieniec pański. Król z czułością druha położył obie ręce na ramionach sługi i odezwał się głosem złagodzonego:

— Witaj mi, Stoigniewie! Ja do ciebie przybywam w gościnę. Nie spodziewaliście się mnie, nieprawda? Może nie badzo radzi mi będziecie?

— Miłościwy królu a ojeze, wyście tu gospodarzem nie ja... Stoigniew sługą waszym.

— I druhem moim... — dodał król wesoło. — Na zamek nas prowadź!

Niedaleko od katedry były dworce pańskie, piastowskich czasów jeszcze pamiętne. Na grodzie, jako zastępca i prawa ręka króla, mieszkał Stoigniew.

Mąż to był w kraju tyle znaczący, iż mu nikt

nie dorównał powagą, rozumem, ani nauką. Bolesław używał go do najważniejszych spraw. Gdy, złamawszy nieprzyjaciela, potrzeba było pokój zawrzeć, warunki stawić, przy swoich sprawach obstać, lub wyjednać ustępstwa, nikt nad opata Arona i Stoigniewa nie był do tego zdolniejszy.

Król burzył się łatwo i częściej po miecz sięgał, niż w cierpliwości wytrwał. Stoigniewa nie wzburzyć nie zdołało, słuchał i patrzył, ze spokojem odpowiadał, dopóki woli swej nie przeprowadził. Drogi też to był człowiek dla króla.

Po wspomniałym „palatium“ w Poznaniu ubogo wyglądał starodawny dworzec gnieźnieński, ale szanowany był dla pamiątek, które do ścian jego przylgnęły.

Gniezno za Bolesława Wielkiego miało najliczniejszą załogę wojsk. Inne też miasta, jak Włocławek i Gdecz, podobnemi załogami opatrzone były w czasie pokoju. W Poznaniu miał król tylko tyle wojska, ile było potrzeba przy jego boku.

Zanim król doszedł do progu, miał czas ochłnąć z wrażeń, jakie na nim uczynił mnich, wypogodził twarz, chciał się okazać dobrej myśli. Na powitanie stojących w progu: starszyzny, duchownych, żupanów, władyków i rodziny Stoigniewa król odpowiedział pozdrowieniem wdzięcznem i szybko szedł na dworzec. Tu były już stoły ponakrywane, a pacholki z pochodniami stali po kątach. Najstarszy z duchownych, wiedząc, iż król znużony i głodny, natychmiast odmówił modlitwy i zaczęto znosić misy. Sam Stoigniew wraz z żoną usługiwał królowi.

Twarze otaczających, rade z widzenia pana, śmiały się weselem. Bo też król prawie każdego ze swych wiernych przy spotkaniu obdarzał nadaniem jakimś, końmi, szatami, lub orężem. Bolesław, szczodry z natury, hojnie szafował skarbami, których mu dostarczały wojny.

Prócz dworu królewskiego niewielu było biesiadników, bo nie spodziewano się króla w Gnieźnie. Zwykle, gdzie chwilowo król przebywał, a z nim najwyższy sąd i urzędnicy, gród ten, stawał się stołecznym. Zjeżdżali do niego pokrzywdzeni z żałobą, biedni z prośbami, obdarzeni łaskami z podzięką i hołdem dla pana. Znano go, że przemocy możnych nie folgował, ani krzywdzić biednych nie dopuszczał. Napływ doń był zawsze mnogi.

Siedli wszyscy za stoły i król miał już rozpocząć wieczerzę, gdy, jakby sobie coś przypomniął, skinął na siedzącego najbliżej duchownego. Szło mu o owego mnicha, który w kościele z napomnieniem doń wystąpił. Posłano natychmiast po kapłana, który miał zlecenie wyszukać pielgrzyma. Nadszedł tenże, ale widocznie zafrasowany zbliżył się do króla.

— Miłościwy panie, mnicha tego szukaliśmy napróżno... i koło kościoła i na podzamczu i po całym grodzie. Stróż we wrotach widział go uchodzącego śpiesznie...

Zasepiło się oblicze króla, ale Stoigniew zaraz wyprawił swych kilku ludzi, aby miasteczko przetrzesiono.

Bolesław chwilami dawał się rozweselić, ale znowu wracały chmury. Tak przesiedział wie-

czerzę, a czując się znużonym, pod koniec wstał, choć dwór pozostał jeszcze przy pełnych dzbanach.

Stoigniew zaraz pana do jego sypialni zaprowadził. Tu już płonął ogień, czekały ciepłe szaty i służba stała w pogotowiu.

Zaledwie Bolesław wszedł, znowu spytał o mnicha.

— Miłościwy panie — mówił Stoigniew łagodnie — cóż ten biedny jakiś mnich ma tak niepokoić pana mojego? Czy się odezwał zuchwale? Może nie wiedział do kogo mówi?

— Wiedział on, co i do kogo mówił. Duchownemu by to było przebaczeniem, a nawet za dobre poczytanem, gdybym wiedział i pewnym był, że wistocie mnich to jest, a nie skryty wysłaniec czyjś. co chciał czynności moje podpastryć i złość mi uczynić.

I Stoigniewowi podejrzanem się to wydało, ale zmilczał.

— Stoigniewie mój, zaprawdę, gdym już na spoczynek zasłużył, najwięcej mam niepokoju. Wiecie o sprawie Jaksów? Co było ich rodu i krwi, pierzchło ode mnie. Niemcy siedzą cicho, lecz czekają pory; na Rusi nieprzyjaciele czyhają tylko, bym osłabł, aby na państwo uderzyć. Co czynić, aby umocnić gmach? co czynić?...

Stoigniew nie podzielał obaw króla.

— Panie miłościwy! Próżne trwogi, odpędzić je trzeba. Cieszcie się raczej, panie mój, walecznym synem waszym, który gdziekolwiek pójdzie, pokonywa i zwycięża jak wy.

— Cieszę się nim i trwożę — szeptał król. — Wojakiem jest mężnym i szczęśliwym, lecz na wojnę nie rwie się on sam, ani jej pragnie, woli w domu spoczywać. Przed tobą, Stoigniewie, mogę duszę otworzyć. Mieszkowi przeznaczyłem panowanie po sobie, w nim położyłem nadzieję, ale Besprym, starszy mój syn, któregoś odepchnął, zdolniejszym jest. Co z tym uczynić? Mieszkowi niebezpieczny wróg rośnie. Krew to moja, buchnie! Buchnie prędzej, czy później.

— Miłościwy królu, czemu go trzymać bezczynnie w zamknięciu, aby w nim gorycz rosła?

— Cugle mu puścić? Wtedy ani ja go wstrzymać potrafię—odrzekł król.

Zamilkli znowu, stary namiestnik już rad był przerwać niemiłą rozmowę.

— Noc późna już — rzekł. — Miłościwemu panu spocząćby należało.

Gdy na to nie było odpowiedzi, skłonił się, zwołał komorników, aby łoże przygotowali i na straży pozostali.

Tak zakończył się ten dzień długi i ciężki dla króla.

Nazajutrz rano, gdy Stoigniew zjawił się w sypialni królewskiej, Bolesław uwiadomiony już, że mnicha nigdzie nie znaleziono, wybuchł gniewem wielkim. Rozesłano więc ludzi na drogi różne i gościńce, zatrzymywano jadących, lecz wszystko bezskutecznie.

A król jak przybył chmurnym, rozweselić się nie dał. Jedynie rozrywką i pociechą dlań było, gdy dnia tego wyprowadzono, dla przeglądu, jego pancerników i pułki piechoty, bo nimi mógł

się pochlubić. Ani niemieckie nie były lepiej uzbrojone i wdrożone do wojny.

Bolesław, patrząc na swoje wojsko, zapominał frasunków, czuł się sam lżejszym i młodszym. Do stołu też siadłszy, gdy starzy dowódcy zagaili o dawnych wojnach, poszła rozmowa wesoła. Król żołnierzem się stał i pokrzepił tem lepiej niż słowami otuchy.

Dzień też zszedł weselej. Bolesław nie śpieszył do Poznania, gdyż miał i tu ważne sprawy do załatwienia. Zaraz pierwszego wieczora kazał wysłać Stoigniewowi po dwustu radnych, aby się do Gniezna zbrali. Tu na uboczu i bez rozgłosu chciał omówić sprawę królestwa i korony, oraz obmyślić środki dla spełnienia pragnienia swego.

Korona z namaszczeniem rzymskiem potrzebna mu była nie dla siebie, ale dla syna, któremu chciał ją zostawić jako tarczę od napaści.

Gdy król czekał w Gnieźnie na zjazd powołanej starszyny, tymczasem mnich, który znikł w Gnieźnie, pojawił się w Poznaniu. Ksiądz Petrek uląkł się, gdy go na swym progu znowu zobaczył.

— Obawiać się nie macie czego — zawołał dumnie mnich. — Wracam z Gniezna, gdzie oko w oko spotkałem się z Bolesławem; gonią mnie tam i śledzą! — uśmiechnął się dumnie.

Ksiądz Petrek stał blady i drżący; widocznem było, że radby się pozbyć tego gościa niebezpiecznego.

Mnich pogardliwie nań spojrział.

— Mój ojciec — odezwał się — idę stąd precz, chociaż jestem bezpieczny, bo matce mojej

i mnie zostali tu wierni przyjaciele. Mów mi, co mam zanieść tam, skąd przybyłem? Bolesław trawiony jest niepokojem o swe państwo, to jawne. Czuje, że to, co skleił, z pod ręki mu się rozleci.

Ksiądz Petrek zbliżył się doń i począł mówić szybko:

— Ani się łudzić nie godzi — mąż to silny i doradców ma rozumnych. Życia ma jeszcze dosyć, by żelaznemi klamrami związał te kraje. Wiem od opata o jednej sprawie, która może dać mu siłę wielką. Otto włożył mu na skroń koronę... pamięta on o tem i zowie się królem, ale mu trzeba z Rzymu od Ojca świętego korony namaszczonej, o tę koronę starać się będzie, pójdą po nią posły. Rozumiecie? To groźba dla cesarza. Cesarz posłów do Rzymu nie powinien dopuścić, a w Rzymie zapobiedz, aby mu nie dano namaszczenia. Na wszystkich drogach posłańców jego pilnować trzeba! Pójdą przebrani za obcych... manowcami krążąc dokoła.

Ksiądz mówił szybko, a cicho; mnich napawał się tą mową.

— Dajcie znać do arcybiskupa, gdy posły wyjdą, kto, którądy, kiedy. Noga ich nie pozostanie.

— Tak — rzekł ksiądz Petrek — dam znać, jeśli co wiedzieć będę. Nie z wszystkiego mi się zwierza opat Aron, umie milczeć. Więcej domyślać się i zgadywać trzeba. Bolesław jest zły, zawzięty i gniewny, lecz skrytym być umie, gdy mu Stoigniew i opat nakazą milczenie. Ma swoich ludzi na dworze cesarza, ma u markgrafów

i książąt. Złota na to nie żałuje. Ma swoich płatnych w Rzymie i Rawennie i wszędzie!

— Lecz papież mu dać korony nie może — odezwał się mnich — cesarz zaprzeczy.

— Bezpieczniej nie dopuścić korony, gdy zostanie wysłana, niż mu ją zaprzeczać — mówił ksiądz Petrek.—Niech cesarz hacznąść ma, niech pilnować każe.

Mnich rozogniony rzekł:

— Waszym obowiązkiem wyszperać, kto, kiedy i którędy pojedzie, dać znać, wysłać natychmiast uwiadomienie.

Sparty na stole ksiądz-pisarz zadumany był smutnie...

— Myślicie, że mi to łatwo? — odezwał się szyderczo.—Pisać nie mogę... pismo najstraszniejszym zdrajcą. Wysłać nie mam kogo, komu zaufać?

Oba milczeli długą chwilę, wreszcie ksiądz Petrek się odezwał:

— Cesarz dość silnym jest, by środki obmyśleć, o co chodzi, wy wiecie. Bolesław koronę ma na myśli, chce ją zostawić synowi Emnildy, choć ma starszego syna po węgierskiej ś. p. Judyście, który marnieje zamknięty.

— Pamięta o nim cesarz—mruknął mnich.

Ksiądz Petrek, chcąc już się nareszcie pozbyć gościa, wyszedł. Bystrem okiem obejrzał wszystkie kąty, a przekonany, że mnich bezpiecznie ujść może, wrócił.

Mnich wymknął się z mieszkania i szybkim krokiem podążył ku mostowi, za którym zniknął.

X.

Bracia wybawieni od śmierci.

Gdy Jaksowie znaleźli się w nowem więzieniu, do którego dochodziły tylko dalekie głosy, nie byli jeszcze pewni ocalenia. Myśleli, że kara ich była tylko odroczone. Wśród ciemności szukali, na czemby mogli się położyć, lecz izba była pusta. Legli więc na ziemi, oczekując z obojętnością zawołania.

Upłynął czas długi, a nic ciszy nie przerwało. Naraz usłyszeli zgrzyt klucza w zamku. W bocznych drzwiach ukazało się światółko, a z niem maleńki człowieczek przygarbiony, który lampkę osłaniał ręką. Okryty był czarną szatą, jaką duchowni nosili.

Wszedłszy, jakby z obawą, wzrokiem niepewnym popatrzył na dwu braci, bacznie się im przyglądając. Być może, iż inaczej wyobrażał sobie zbójców na śmierć skazanych. Gdy zobaczył łagodne i smętne twarze Jaksów, trzymających się za ręce, zdawał się być mocno zdziwionym. Położył palec na ustach na znak milczenia, a zwróciwszy się ku drzwiom, przyniósł kosz z jedzeniem, jakiego dwaj skazani dawno już nie kosztowali. W milczeniu postawił kosz przed nimi, zachęcając do jedzenia ruchem ręki, lampkę umieścił na przymurku. Sam stał milczący, przypatrując im się ciągle z ciekawością.

— Mój ojcie, kiedy nas tracić będą? — odezwał się Andruszko.

Człowieczek, usłyszawszy głos, jakby się uląkł, znowu palec na ustach położył.

— Nic nie wiem—nic! Lecz... To wam powie kto inny, to nie moja rzecz.

Ręką na kosz pokazał.

Chociaż niepewni przyszłego losu swojego, Jaksowie tak byli zgłodniali, że Jurko wyciągnął rękę do kosza.

Braciszek postął chwilę, wreszcie, zostawiwszy lampkę, mało co światła dającą, wyszedł, drzwi zamykając za sobą.

W dzbanie był miód, w koszu chleb i mięsivo; wydało się ono zgłodniałym dziwnie smacz-nem. Srogi głód miał swe prawa, które zmusza-ły zapomnieć o niebezpieczeństwie.

Miód wlał w nich jakąś nową siłę. Andruszko się uśmiechnął.

— Poco nas karmią na śmierć?

— Kto wie? Coś się stać musiało! — rzekł Jurko.

— Wyrok królewski zapowiedział śmierć przede dniem, a to już dzień biały.

— Może się nad jednym wreszcie zlitują — dodał młodszy.

— Jeżeli ważą jeszcze, którego mają tracić, to jam gotowy.

W tej chwili klucz w zamku znów zaskrzy-piał i wszedł inny duchowny, nieznany obu bra-ciom: poważny, z krzyżem na złotym łańcuchu, zawieszonym na piersiach.

Bracia powstali i zbliżyli się, aby, wedle zwy-czaju, ucałować rękę duchownego. Piękna, choć

surowa twarz, nie zdawała się im wróżyć nic złego.

Zmierzył Jaksów bacznie wejrzeniem. Oni stali przed nim milcząco.

— Przyszedłem, dzieci moje, zwiastować wam, jeżeli nie ocalenie, to nadzieję jego. Nie mogę, bo prawa nie mam, powiedzieć wam, komu to zawdzięczacie, ani co wam przeznaczono. Miłościwa opieka wyrwała was z pod gniewu króla. Nadzieja więc w Bogu, iż czas ułgodzi pana i możecie być ocaleni, módlcie się o tę łaskę. Na swobodę wyjść nie możecie, choćbyście tylko rycerskiem słowem związani byli. Ktoś nieopatrzny zobaczyłby was, tajemnicaby się wydała przed czasem. Musicie więc pozostać tu lub gdzieindziej. Dla świata jesteście umarli.

Słuchając tego niespodziewanego oznajmienia, Jaksowie daleko mniej okazali radości, niż można było przypuszczać. Ludziom rycerskiego powołania, nawykłym do swobody i ruchu, do nieustannego zajęcia, niewola wśród czterech murów wydawała się równą śmierci. Pocieszało ich to może jedynie, że rozdzieleni być nie mieli. Andruszko jednak, niepewny, odezwał się z westchnieniem.

— Ojciec przewielebny, zostawcie nas przynajmniej razem.

— Owszem, będziecie razem—odparł duchowny—nie będzie wam na niczem zbywało, oprócz swobody i ludzi. Powtarzać wam nie trzeba, że gdybyście byli wysłedzeni i poznani przez kogośkolwiek, przypłacić to życiem możecie. Więc nawet zdaleka, przez kratę mszy słuchając, twa-

rze zakrywać musicie i do nikogo nie mówić ani słowa.

Powiedziawszy to, ksiądz skinął głową i poważnym krokiem wyszedł z izby. Zaraz drzwi za nim zaryglowano.

Bracia padli sobie w objęcia i ścisnąć się zaczęli radośnie. Mieli przynajmniej nadzieję.

Cały dzień szeptali z sobą, gubiąc się w domysłach, kto mógł uratować ich od zguby. Znali oni króla i wiedzieli, na jakie niebezpieczeństwo narażał się ten, kto ośmielił się woli jego sprzeciwić.

Tegoż dnia pod wieczór stary kleryk przyniósł im słomę na posłanie i dzban wody. Pytany o cokolwiek, kładł palec na ustach i nie mówić nie chciał.

W kilka dni potem nastąpiła niedziela, ten sam staruszek przyniósł im dwie czarne opończe z kapturami, kazał ubrać się w nie i ciemnymi korytarzami poprowadził do pustej izdebki nad zakrystją, w której przez małe okratowane okienko był widok na kościół.

W tej chwili wychodził kapłan z prymarją przed wielki ołtarz. W chórze widać było kilku duchownych i parę jakichś pobożnych osób w głębi kościoła.

Gdy się Jaksowie rozejrzeli, poznali, że byli w tumie poznańskim.

Po skończonem nabożeństwie zaraz stary stróż odprowadził ich do więzienia. Srogo się ono braciom czuć dawało. Jurka już nawet sen nie brał, rzucał się, jak dziki zwierz, potem żbolały opadł na siłach; wkrótce ciężko się rozchorował.

Wytrwalszy brat czuwał nad nim, a widząc go tak ginącego w oczach, uprosił stróża, aby uwiadomił o tem starszego duchownego. Jurko nie wstawał z postania, milczał, zdawał się śmierci wyglądać.

Tegoż dnia przyszedł duchowny do więzienia.

Zobaczywszy go, Jurko podniósł głowę, lecz zaraz opadł na postanie. Andruszko powstał ze słowami żalu i prośby.

— Mój ojczy! Winniśmy ocalenie od nagłej śmierci łasce nie wiemy czyjej. Lecz zginiemy tu z tęsknicy, natura nasza nie znosi więzienia i niewoli. Jurko mi w oczach ginie. Umrze on, umrę i ja po nim. Tyle tylko, że się dłużej pomęczymy.

Ksiądz wysłuchał ze smutkiem skargi, lecz zdawał się nie wiedzieć, jak złemu zaradzić. Obiecując jeszcze powrócić, wyszedł.

Drugiego dnia przyszedł z opatem tyńieckim. Opat wybadał Jurka i przekonał się, że mu rzeczywiście groziło niebezpieczeństwo... Pomyślał chwilę, jakby rozważał co począć i rzekł:

— Idzie o życie wasze; ktokolwiek zobaczy was na swobodzie, wyda... Naówczas nie tylko wy zginiecie, ale zgubicie osoby, które ocalić was chciały. Nie widzę ja nic innego... tylko przeprowadzenie do szerszego więzienia, do mojego klasztoru w Tyńcu, gdzie w celach zakonnych będziecie mogli patrzeć na słońce i obcować z braćmi, którzy was nie wydadzą. Lecz jakże dostać się tam niepostrzeżenie?

Andruszko uradowany zaręczył, że nocami przez manowce, ludzi unikając, twarze zasłoniw-

szy, potrafią niepostrzeżeni przemknąć się do Tyńca.

Poczęła się więc długa narada, jak podróż tę, na owe czasy nie miała, do skutku przyprowadzić. Ułatwiał ją to, że Jaksom cały kraj był dobrze znany, a w owe czasy lasy i puszcze połowę ziemi zalegały.

Opat, nie przyrzekając nic, wziął to do namysłu, a gdy towarzyszący mu duchowny wyszedł, dodał z pewnem wahaniem:

— W Tyńcu znajdziecie braci moich, z różnych stron tam zebranych, różnymi językami mówiących, moglibyście z tego skorzystać. Możecie, rozpytując i objaśniając u ojców, przygotować się do podróży daleko większej, któraby wam ocalenie zapewniła.

Jakowie ciekawie słuchali, opat ciągnął dalej:

— Król a pan nasz miłościwy mieć będzie wielką potrzebę wysłania ludzi zręcznych i pewnych w ważnej sprawie... daleko... kto wie? może do Rzymu, do samego Ojca świętego. Zręczności do niej i męstwa wielkiego potrzeba, niebezpieczeństw w niej będzie dosyć. Moglibyście mieć w pomoc dodanego braciszka Włocha.

Na samą wzmiankę o podobnej wyprawie, Andruszko ucałował rękę opata, a Jurko podniósł się, jakby mu sił przybyło. Lecz dnia tego na tem się tylko skończyło. Bracia pokrzepieni jednak nadzieją, odżyli. Gdy trzeciego dnia przyszedł opat, zastał Jurka, trzymającego się na nogach o swej sile. Stało na tem, iż przygotowania do podróży miano rozpocząć, musiały one

jednak dłużej potrwać, były bowiem czynione tajemnie.

Jakowie mieli jechać lasami i tylko nocą, przez dzień odpoczywać w szałasach i gąszczach, nigdzie nie zajeżdżając. Na to bracia dać musieli uroczyste słowo rycerskie, na które spuścić się było można.

— Tem ważniejsza to rzecz—dodał opat—iż nie wiem, w jaki sposób i z jakiego powodu obudziły się w ludziach podejrzenia, iż nie zostaliście straceni. Nieprzyjaciele tych, którzy was ocalili, mogliby korzystać z najmniejszej poszlaki, aby oskarżyć ich przed królem. Ostrożności więc potrzeba nadzwyczajnej.

Chociaż opat chciał czekać, aby Jurko sił więcej nabrał, obaj bracia zaręczyli mu, że gdy wydobiją się na światło i swobodę, najcięższej podróży podołają.

Jednak nie wyznaczono dnia do wyjazdu. Bracia z gorączkową niecierpliwością go wyczekiwali.

Jednego wieczoru, później niż zwykle, we drzwiach dał się słyszeć zgrzyt klucza. Wszedł stary kleryk, a za nim poznał Jurko Sieciecha, na końcu szła kobieta z zasłoniętą twarzą. Jurko, choć się nie mógł tego spodziewać, lecz przecucie powiedziało mu, że to była Teodora.

Wypieszczona jedynaczka wybłagała u ojca, by jej wolno było widzieć narzeczonego, nim na niepewne puści się losy. Długo opierał się stary, lecz gdy królowa pozwoliła, zgodził się, aby Jurko osobiście przyrzekł narzeczonej poprawę życia.

Piękna Sieciechówna, gdy zobaczyła Jurka w tej izbie ciemnej i strasznej, tak chorobą i niewolą wyniszczonego, rozpłakała się przeżona.

Jaksa po rycersku ukląkł przed nią.

Słów tam było mało. Sieciech napominał po ojcowsku, Teodora wzięła od narzeczonego przyrzeczenie poprawy, ofiarowała mu poświęcony krzyżyk, aby go bronił od niebezpieczeństw, a wreszcie prosiła obu braci, aby się nie narażali, bo zdradzeni być mogą.

Jurko, rozweselony, zawołał:

— A wiedziałem, komu ocalenie nasze mieliśmy zawdzięczać!

— Jeżeli myślicie, że mnie, lub ojcu memu, to się mylicie. Prosiłiśmy za wami, lecz ocalił was kto inny, jednak imienia tego wymienić mi się nie godzi.

Zdziwili się Jaksowie, lecz i teraz królowa im na myśl nie przyszła. Dopytywać się nie śmieli.

Po krótkiem pożegnaniu, z którego bracia dowiedzieli się, iż tej nocy wyruszyć mają, Sieciech z córką opuścili więzienie.

Żwawo poczęli się szykować do drogi, do której oręż i odzież mieli dostarczone przez opata.

Późna już noc była, gdy wszedł opat. Z nim opuścili celę w tumie i zeszli w podwórze, gdzie czekały na nich dwa konie osiodłane. Kazano im prowadzić je za uzdy do wrót, w których stała straż. Najbliższa tumu furta wiodła na pole.

Opat szedł naprzód, a opowiedziawszy ich straży jako swoich dwóch posłańców, na pole wyprowadził. Bracia, ucałowawszy rękę księdza opata, dosiedli koni i z niewysłowionem uczuciem radości oddalili się szybko od grodu, którego okolice były dla nich szczególnie niebezpieczne. Aby uniknąć spotkania z ludźmi, skierowali się nawprost ku lasom.

Śledzący pilnie sprawę Jaksów, ksiądz Petrek nabierał coraz silniejszego przekonania, iż było w tem coś ciemnego. Z pomocą Harna doszedł, że ich nie stracono. Daleko trudniej mu przyszło dociec, co z nimi zrobiono i kto był główną tej sprawy sprężyną. Opat Aron nie dawał z siebie ani słowa wydobyć. Sądził ksiądz Petrek, iż nie wiedział o niczem. Posądział ojca Teodory, ten okazywał mu wielkie uszanowanie, lecz trzymał się zdaleka. Księża w tumie przyjmowali księdza protonotarjusza gościnnie, nie zawierali z nim jednak bliższych stosunków.

Z rozmaitych poszlak zdawało się księdzu-pisarzowi, iż Jaksowie najprawdopodobniej znaleźli schronienie u księży. Tu więc zwrócił się, lecz nie do starszyny, tylko do kleryków i posługaczy kościelnych.

Milczący staruszek, który miał klucze od wszystkich izb, jakie były na tumie, wydawał mu się najwięcej rzeczy tej świadomym. Zwano go bratem Ruprechtem. Przy pierwszej bytności około tumu ksiądz Petrek rozpoczął z nim przyjazną rozmowę. Brat Ruprecht, któremu pochlebiało, że kapłan, tak wysoko u dworu położony, jest z nim tak poufały, chętnie się wdał w tę

rozmowę, sądząc, że przed księdzem-pisarzem tajemnic niema. Sam nie wiedział, co to byli za winowajcy, których mu strzedz kazano, miał ich za grzeszników, odbywających srogą kościelną pokutę.

— Dużo masz roboty i zachodu, mój bracie, na twe stare lata, ciężko ci już być musi? — zapytał go ksiądz-pisarz.

— Nie—rzekł braciszek.

— Macie pewnie wielu więźniów w tumie do pilnowania?

— A zawsze ich tam coś jest, ludzie nie anioły, toć jeszcze pół-poganów jest dużo.

— Tak, tak — potwierdził ksiądz Petrek. — A teraz dużo ich tam u was?

— Było więcej, dwu mi wczoraj ubyło.

— Wczoraj na raz dwu! Ulga wielka! cóż to za ludzie byli?

— Pono wojenni jacyś... na rycerzy wyglądali, ano dziwnie łagodni jacyś byli.

— Młodzi czy starzy?

— Młodzi jeszcze oba. Jeden mi tu chorzał z tęsknoty, ano odszedł.

— Cóż to za jedni?

— Ja imion ani nazwisk nie wiem, zdało mi się, że braćmi byli, gdyż się bardzo kochali.

— Na wolność ich puszczono?—zapytał ksiądz Petrek, który był już pewien, że chwycił za nie.

— Ja tam nie wiem, nie moja to rzecz, nocą ich wyprowadzono.

Brat Ruprecht, usłyszawszy, że go wołano, pożegnał pokornie księdza pronotarjusza i poszedł.

Powróciwszy do swej celi, Petrek począł rozmyślać, jak miał postąpić, aby za swe trudy otrzymać nagrodę.

Wszystko, co mogło królowi Bolesławowi przyczynić trosk, niepokoju, gniewu, pożądaniem było dla wiernego sługi cesarza niemieckiego.

Zasiać we dworze waśń, podejrzenie, usunąć świątobliwą królowę, którą za opiekunkę i orędowniczkę uważano, było celem księdza Petrka.

Właśnie opat wyjechał do jednego z pomniejszych klasztorów. Pod ten czas spodziewano się powrotu króla.

Ks. Petrek miał dobrą sposobność docisnąć się do niego, aby rzucić jakieś ziarnko, któreby kiełkowało w przyszłości.

Następnego wieczora król z licznym orszakiem huczno zajechał przed gród nad Cybiną.

Ciche dworce natychmiast nowem życiem zakipiały. Co żyło, ruszyło przeciw panu, na jego posługi.

Ksiądz Petrek już wiedział przez swoich, że w Gnieźnie była narada pańskiej drużyny, na której godzili się wszyscy, iż król koronowany uroczyście być powinien, że o koronę starać się potrzeba wszelkimi sposobami, choćby ponieść największą ofiarę, byle ją dostać.

Wieczorem król był tak otoczony rodziną i posłami, którzy tu na niego czekali, iż ksiądz Petrek nie mógł się do niego docisnąć, musiał więc czekać sposobniejszej chwili. Obawiał się jednak aby nazajutrz opat Aron nie nadjechał, bo wówczas nie miałby nawet pozoru do nastręczenia się królowi.

Harno różnych plotek przyniósł swemu opiekunowi, a między innemi oznajmił, że król na-
zajutrz ma się przypatrywać w przedsieniach
dworca, jak na podwórzu będzie się potykać pe-
wien Niemiec ze sławnym siłaczem.

Gdy się trafiło podobne widowisko, dwór ca-
ły, męski i niewieści, pachołkowie i czeladź za-
legali podwórcę, wszyscy byli ciekawi. Ducho-
wieństwu też nie było wzbronionem przypatry-
wać się popisom dzielności rycerskiej, na której
stał świat ówczesny.

Ksiądz Petrek więc zamierzył sobie ustawić
się gdzie blisko Bolesława, aby zwrócić na siebie
jego uwagę, a korzystając z chwili, wciągnąć go
w rozmowę.

Król wistocie był obecny, gdy się zapaśni-
cy wyzywali. Protonotarjusz z właściwą sobie
zrećznością nasunął mu się na oczy a gdy go
pan dostrzegł, ksiądz nisko się pokłonił; miał już
powód przybliżyć się i spróbować, czy król,
stęskniony za opatem, nie zechce z nim rozma-
wiać.

Stało się nadspodziewanie szczęśliwie. Opat
Aron był dla Bolesława bezmiernie surowy,
ale tylko w ten sposób mógł pohamować jego
gwałtowność. Petrka Bolesław nie lubił, ale
umiejętność pisania i czytania wysoko go pod-
nosiła w oczach króla. Miał go za uczonego
i biegłego w rzeczach wiary.

Gdy się widowisko skończyło, pan skinął na
ks. Petrka i poprowadził go za sobą do sypialni.
Z bijącym sercem, skulony, szczęśliwy, że mu się
tak powiodło, szedł ksiądz-pisarz za królem ci-

chymi krokami. Gdy w sypialni znaleźli się sami, Bolesław rozpoczął od wzdychania za opatem.

— Gdyby Miłość wasza miała co do rozkazaniam, choć tak wielkiego męża nie potrafię nigdy zastąpić, starałbym się jednak...

— Słuchaj no, mój ojciec — rzekł król. — Opat mnie straszy grzechami moimi... Czy wistocie przepisy życia są tak srogie?

Ksiądz Petrek głowę w ramiona wsunął, ręce rozłożył, milczał.

— Miłościwy panie! Kościół zna słabości ludzkie i folguje szczególnym osobom. Tym, na których ramiona włożone jest brzemię wielkie, więcej też odpuszcza prawo. Czczę i na twarz padam przed wielkością i dobrotliwością przewielebnego Arona, ale surowy on jest nad miarę, tak dla siebie, jak i dla drugich.

— Tak mi się zda — rzekł król i zamyślił się milcząc.

Ksiądz Petrek tymczasem umiał naprowadzić rozmowę na sprawy dworu. Począł ubolewać nad złośliwością ludzką, nad dziwnymi baśniami, jakie sobie ludzie roili.

— Nie obeszło się i teraz, bez różnego o tej sprawie gadania, gdy Miłość wasza tak sprawiedliwie skarcił zuchwałych i niewdzięcznych Jaksów.

Król spojrzał chmurno. Pisarz mówił ciągle, oczyma badając króla.

— Po dworze chodzą najniedorzeczniejsze pogłoski, jakoby, mimo rozkazu i wyroku pańskiego, Jaksów czyjaś opieka ocalić miała...

Wiadomo to wszystkim, iż młodszy był z córką Sieciechową zaswatany, więc jego, a nawet świętą, miłościwą panią naszą posadzają o nieposłuszeństwo i bunt przeciw woli twej, panie!

Bolesław podniósł zdziwione oczy i wlepił je baczenie w mówiącego.

— Co ty mówisz?—zapytał zdziwiony, a gorzki, dziwny uśmiech przebiegł mu po ustach. — Co mówisz?

— Wiem, miłościwy panie, że tak nie jest i być nie może. Lecz oto czem jest złość ludzka!

Rzucając tę wiadomość królowi do serca, sądził ksiądz Petrek, że zasieje w nią nieufność, podejrzenie i gniew może, lecz z twarzy króla nawet rozpoznać nie mógł, co ten myślał.

Bolesław zwrócił mowę na opata, a klasnąwszy na komorników, pisarza odprawił.

Wyszedł drżący. Wiodło mu się aż do ostatniej chwili szczęśliwie. Lękał się, aby teraz noga mu się nie poślizgnęła.

XI.

Bracia przeniesieni do Tyńca.

Tyniec stara to osada wraz z gródkiem. Było nawet podanie, że nie jeden, ale trzy zameczki warowne stały niegdyś w tej okolicy lesistej, nad brzegami Wisły.

Tu król Bolesław, pierwszy wraz z żoną swą Judytą węgierską, a matką Bezpryma, założyli i uposażyli opactwo benedyktyńskie.

Jak w całej Europie naówczas, tak i w Polsce zakonnicy św. Benedykta przynosili światło. Rozchodziło się ono po nawpół pogańskim jeszcze kraju od tych ognisk klasztornych, przy których powstały pierwsze szkółki. Wielkiemu dziełu nawracania i cywilizacji nie starczyły rzadko rozrzucone po kraju biskupstwa, ani duchowieństwo świeckie. Wszędzie zakonnicy najdzielniejszą im byli pomocą.

Benedyktyni nieśli z sobą szkoły, rękopisma, rzemiosła, sztuki. W regule św. Benedykta pracowali wszyscy, wedle sił i zdolności, każdy klasztor był małym światkiem, który sam musiał sobie starczyć.

Gdy Bolesław zakładał opactwo w Tyńcu, stał tam zameczek, spalony, zniszczony i zaledwie licho polepiony na przyjęcie zakonników, kościoła nie było. Po ich przybyciu szybko wzniósł się kościółek klasztorny na starem grodzisku, a z czasem przy nim i wszelkie zabudowania. Z Francji i zachodu przywieziono latorośle, założono pierwsze ogrody i winnice.

Sposobili się kamieniarze, aby dawnych cieśli słowiańskich zastąpić. Robota postępowała pomału; nieprędko stanęły tu wspaniałe mury i wieżycy na kościele, zdala widniejąca. Tyny, poczęści stare, z drzewa, lub chróstu, obejmowały klasztor. Lecz pod tymi dachami z darnic lub słomy synowie św. Benedykta przepisywali kanony, wczytywali się w uczone rozprawy. Tu już ściągano ubogą dziatwę na naukę i przysposabiano przyszłych kapłanów.

Nie będziemy opisywać podróży Jaksów do

Tyńca, która trwała dość długo, gdyż napotykali różne przeszkody i musieli się ukrywać. Udało im się jednak szczęśliwie uniknąć ludzi, którzyby ich poznać i zdradzić mogli. Podróż była męcząca, mroz i zawieje czyniły ją przykłą. Ognie nieraz rozpalali i szałaszy rozpinali dla spoczynku i ogrzania, lecz czuwać ciągle musieli, aby ich jakie niebezpieczeństwo znienacka nie zaskoczyło. Rumaki były pomęczone, zarówno jak i jeźdźcy, którzy, choć zahartowani i wytrwali, tęsknili już za dachem i wypoczynkiem i upatrywali, kiedy ten Tyniec się ukaże.

Po mroźnej bardzo nocy, zziębnięci, wydobyli się z lasu na polanę. Tu z podziwem wielkim zobaczyli na urwistem wzgórzu, nad rzeką zamarniętą, w ogrodzeniu, budowlę, a nad niemi wysoko krzyż, który im Tyniec zwiastował. Zdala usłyszeli odgłos klasztorne dzwonka.

Z niewymowną pociechą popędzili konie, aby co prędzej dostać się pod dach gościnny. Teraz czuli się ocalonymi.

Przez otwarte wrota wjechali na zewnętrzne podwórze. Pozsiadali tu z koni i, prowadząc je w rękach, przystąpili do zamkniętej furty, która zaraz się otworzyła, a stróż, w szacie zakonnej, zmierzył ich ciekawym wzrokiem. Gdy mu Andruszko powiedział, że są przysłani od opata Arona i potrzebują mówić z przeorem, odebrano od nich konie, a ich samych do rozmownicy wprowadzono. Izba ta pustą była, ogień palił się na kominie.

Zaledwie weszli, ukazał się braciszek z oznajmieniem, że przeor za chwilę, gdy skończy mo-

dlitwy w chórze, przyjdzie do nich. Tymczasem zajął się bardzo pilnie przybyłymi, zabawiając ich jak mógł i umiał, dopóki nie nadszedł czas wychodzenia z chóru. Wymknął się teraz kleryk, aby oznajmić przeorowi o przybyłych. Niedługo też wprowadził przełożonego.

Andruszko, powitawszy o. Benedykta ucałowaniem jego ręki, oddał mu pergaminowy zwitek, który dostał od opata, jako legitymację wiarogodną, kim byli, skąd i w jakim celu przybywali.

Przeor odszedł do okna, aby pismo odczytać, a dowiedziawszy się, że z przybyłymi trzeba na osobności się rozmówić, odprawił kleryka.

O. Benedykt, choć od kilku lat przebywał w Tyńcu, jednak po polsku bardzo mało mówił i rozumiał.

Z kartki opata tyle się dowiedział, że miał ukryć przysłanych, a jeśliby się dało, zdolniejszego z nich nauczyć jakiego języka, oraz przygotować obu do podróży do Włoch.

Najwięcej zaś opat nalegał na to, by przybyli pozostali w zupełnem ukryciu i nikomu, prócz stałych mieszkańców klasztoru, nie pokazywali się wcale.

O. Benedykt natychmiast rozkazał klerykowi, aby się zajął umieszczeniem dwóch braci. A że z życiem zakonnem obeznać się musieli, aby się doń zastosować, kazał im pokazać klasztor i objaśnić, jak tu dzień był rozłożony. Najpierw zaprowadzono braci do obszernej i dosyć wygodnej izby z widokiem na Wisłę, tu mieli sobie przeznaczone mieszkanie. Zniesiono ich to-

bołki i teraz dopiero po długiej podróży, w której ani razu przebrać się nie mogli, pierwszy raz wyzwolili się z ciężkich kaftanów i przebrali w czystą odzież.

Wedle rozkazu przeora, zabrał ich kleryk, aby pokazać im całą osadę klasztorną. Weszli naprzód do wielkiej izby jadalnej, w chwili gdy całe zgromadzenie siedziało za stołem w milczeniu, a siedzący na podwyższeniu kleryk czytał głośno. Przechodząc potem długie korytarze i pod-sienia, wstępowali do cel zakonników. Zdziwiło to bardzo braci, że w każdej z cel widzieli jakieś narzędzia rzemieślnicze. Kleryk tłumaczył im, że każdy z ojców ma swoje zajęcie, a prócz tego latem wszyscy razem pracują w polu, w ogrodach, przy gospodarstwie, lub budowie, obrabiając wszystko tylko siłami klasztornymi.

Nakoniec zaprowadził ich kleryk do wielkiej jasnej izby, nazwanej biblioteką; tu na półkach spostrzegli wiele ksiąg, takich, jakie tylko w kościołach widywali. Ogromny stół po środku zarzucony był kartami ze skóry wygładzonej i jasnej, na niektórych widać było rozpoczęte malowania i złocenie. Kilka ksiąg dużych, które przepisywano, leżały otwarte na stole.

Tuż obok była szkoła klasztorna, w której wykładano klerykom nauki wyższe, oraz uczono muzyki, każdemu duchownemu koniecznej potrzebnej i wówczas bardzo cenionej.

Szkółka dla ubogich dzieci przychodnich mieściła się poza ogrodzeniem klasztorzem, aby żaczekowie wrzawą nie przeszkadzali nabożeństwom i pracy w klasztorze.

Gdy Jaksowie, obszedłszy wszystkie zakątki klasztoru, znów znaleźli się sami w swej izbie, długo nie przemówili słowa do siebie.

Wreszcie odezwał się Jurko.

— Ha! Jeden Bóg wiedzieć to raczy, jak nam tu długo żyć przyjdzie... Ludzie jacyś dobrzy i przyjacielscy... a no... życie?...

— Tsy! lepsze, niż w ciemnicach poznańskiego tumu—odrzekł starszy.

— Cóż my tu robić będziemy?

— Jeść, pić i spać... Modlić się i spać...

— Za płot, ni w las nie wolno... do konia ani przystap.

Zadumali się oba.

— Jak ci się zda? długo to potrwać może?

— Zda mi się, że nie krótko—rzekł Andruszko.

— Ale chyba w las na łowy czasem nam będzie wolno?

— Ja nawet nie będę śmiał pytać o to przeora—rzekł starszy.

Smutna ta rozmowa przeciągnęła się aż do wieczery.

Nazajutrz znajomy już braciom kleryk zaprowadził ich na mszę świętą, a potem wezwał do przeora, który na nich oczekiwał w swej celi.

Przeor przyjął ich uprzejmie, ale z powagą ojcowską.

— Dzieci moje—rzekł—widzieliście już wczoraj, że my tu wszyscy pracujemy. Co wy robić będziecie? W bezczynności żyć sroga to kara, którejbym wam chciał oszczędzić...

Na to uśmiechając się, Andruszko odrzekł:

— Ojcie przewielebny, my oprócz oszczepem i mieczem władać a koniem kierować nic więcej nie umiemy, a uczyć się może już zażstarzy jesteśmy... i...

— No... i ochoty pewno, jako rycerze, nie macie?... — pochwycił przeor, patrząc na nich ciekawie.

— Ksiądz opat kazał nam się uczyć jakiegoś języka—rzekł Jurko. — Bratu mojemu starszemu możeby to było za ciężko, jam gotów.

— Rzymskiej mowy potrzebaby wam, gdy za pokutę pono do Rzymu iść macie...

— Słuchać musimy rozkazu opata — odrzekł Jurko.

Nie szło o pisanie i czytanie, co rycerze uważać mogli za uwłaczające dla siebie, lecz o samą mowę, której potrzebowali dla ułatwienia wyprawy w obce kraje.

Do tej nauki wyznaczono im kleryka Otmara, którego Jaksowie już na wstępie poznali i polubili. Miał więc on w pewnych godzinach uczyć ich praktycznie rozmowę, co część dnia zająć mogło.

W parę dni odwiedził więźniów przeor w ich mieszkaniu. Bracia zauważyli, że był dla nich przychylnie usposobiony, rozmawiał łaskawie i dopytywał się, czyby im na czem nie zbywało. Skorzystawszy z tego dobrotliwego usposobienia, Jurko wybiegł za przeorem na korytarz. Tu, powtórnie ucałowawszy jego rękę, odezwał się po cichu:

— A! mój ojcie, mam do was prośbę wielką. Nie dla mnie... o brata mi chodzi... Myśmy tak

nie nawykli do zamknięcia między czterema ścianami. Andruszko mi schnie, patrząc na lasy... Gdybyście pozwolili nam na łowy wybiedz...

— Któżby wam tego bronił? Lecz sami zważcie, na co się wystawiacie? W Krakowie gości dużo rycerzy, co was znają i poznać mogą. Oni prawie codzień wyjeżdżają w lasy i zapuszczają się nieraz daleko... A jeśli zetkniecie się z takimi ludźmi, co was poznają... już nie siebie, ale innych narazić możecie.

Jurko, widząc, że przeor stanowczo nie zabrania, zawołał:

— A! ojczy! my to na własnem sumieniu mamy. Lasy szerokie, miejsca dosyć... ucho mamy dobre, konie rączne, ani się napaść znienacka, ani dogonić nie damy.

— Cóż mam wam rzec, czyńcie, jako chcecie, a patrzcie, byście w nieszczęście nie popadli...

Jurko jeszcze raz księdza w rękę pocałował i do izby powrócił.

— Hej, Andruszko — rzekł figlarnie. wchodząc i uśmiechając się — co to tu za lasy dokoła! widać w nich nie polują! co tu zwierza być musi!...

Starszy popatrzył na brata smutnie i rzekł:

— Lepiej o tem nie wspominać, kiedy nam tego kosztować nie wolno.

Nie mogąc się dłużej powstrzymać, Jurko poskoczył do brata:

— Wiesz, przeor pozwolił!..

Zerwał się starszy.

— Kłamiesz!

— Prawdęm rzekł... — uderzając się w piersi, odparł młodszy. — Przyznam ci się, prosiłem go.

Wprawdzie dawał rady i przestrogi, ale nie zabrania.

— A zatem jutro w las! jutro w las!...

— W las! w las!—powtarzali oba.

Nazajutrz po pierwszej mszy pobiegli do stajni, a w chwilę potem już ich w klasztorze nie było. Ranek był jak dla łowów wybrany. Świat im się śmiał, jakby powracało dawne życie.

Stały puszcze ciche, otwierające swe głębie, a nigdy może nie wydały się Jaksom tak cudownie piękne, jak teraz. Konie ich, wypoczęte, rade swobodzie, prychały i szły lekko a rażno.

W okolicy nie spłoszonej dziczyzny obiecywało się dosyć. Bracia jadąc, spoglądali, czy gdzie nie dojrzą tropu większego zwierza.

Jechali cicho, czasem spoglądali na siebie, mówiąc oczyma:

— Jak nam tu dobrze!

Wtem Jurko zawołał:

— Świeży ślad—dotrzyjmy!

Ruszyli śpieszniej, rozstępując się nieco, aby tropy odyńca mieć między sobą.

Po drodze widać było, że dzik próbował ryć zmarzłą ziemię, lecz nie naruszywszy jej, szedł dalej.

Zapomniawszy już o wszystkiem, z oczyma wlepionemi w ślady zwierza Jaksowie gorączkowo doganiać go zaczęli... Zdala ujrzeni leżącego pod kłodą ogromnego odyńca, z najeżoną sierścią, z potężnym ryjem i bielejącemi kłami. Zwierz był ogromnego wzrostu, ciężki, lecz straszny siłą. Ujrzawszy myśliwych, zerwał się i wpadł w zaspę, w której skrył się po grzbiet,

lecz zaraz wyskoczył na kłodę, oplataną chróstem i gąszczem powikłanym, skąd z trudnością mógł się wydobyć. Andruszko, korzystając z tego, pchnął go w bok oszczepem. Cios nie był śmiertelny; zanim Jurko zdołał z drugiej strony ugodzić, rozjuszony zwierz kłami podciął koniowi przednie nogi.

Koń i jeździec padli razem koło odyńca, który paszczą krwawą bronił się wściekle... Przytomny Jurko w tej chwili wydobył miecza i tak zręcznie ciął, iż zwierz, krwią bluzgnąwszy, padł dogorywający.

Zwycięstwo to było drogo okupione, bo koń miał jedną nogę rozciętą, a drugą tak zgruchotaną, że się tylko na skórze trzymała.

Biedne zwierzę tarzało się, pasując z bólem i śmiercią. Bracia stali, przerażeni wypadkiem... Jurkowi było żal konia, prawie jak przyjaciela. Stali oniemieli nad swoją nieszczęśliwą zwierzyną, nie wiedząc sami, co z nią począć i z sobą.

Wtem posłyszeli tętent, a gdy podnieśli oczy strwożone, ujrzeli dwa psy, pędzące wprost ku zwierzynie. Chcąc ujść wzroku przybywających, bracia rzucili się w gąszcze, lecz zanim zdołali przedrzeć się głębiej, stał już nad nimi jeździec niespostrzeżony.

Widząc dwóch ludzi, usiłujących skryć się w gąszczach, zawołał:

— Cóż to, zbójce?... bez czci i wiary, skoro przed panem z Tęczyna kryć się usiłują!...

Jaksowie słyszeli te wyrazy, wymówione tuż blisko, i zakipiło w obu. Jurko, nie mogąc znieść takiej zniewagi, odwrócił się i stanął przed jeźdź-



Jurko wydobyl miecza i zrzecznie ciął...

cem. Jaśko z Tęczyna na widok człowieka, o którego śmierci był przekonany, bo o niej szeroko głośzono wszędzie, cofnął się oniemiały i przestraszony, jakby ujrzał widmo, wstające z grobu. Andruszko nie został też za bratem; milcząc, obaj dumnie wpatrzyli się w przerażonego gościa.

— Jaśku z Tęczyna! — odezwał się Andruszko — jeżeliśmy kryli się przed tobą, to nie dla własnego bezpieczeństwa... Winniśmy życie ludziom litościwym, którzy nas ocalili bez wiedzy króla... czynimy to dla nich, iż się nie pokazujemy... Chcieliście nas widzieć, macie... ale wiedzieć, że, jeżeli nam nie dacie słowa i przysięgi, że nas nie wydacie... życie wam wziąć musimy...

Pan z Tęczyna stał jeszcze, nie mogąc przyjść do siebie z wielkiego zdumienia. Patrzył i oczom swym nie wierzył, słuchał i nie wiedział co myśleć o tych dwu nieboszczykach. Pojąć mu było trudno, by ktoś śmiał oszukać króla dla ich ocalenia.

Za Andruszkiem powtórzył Jurko:

— Słowo nam dajcie... lub...

— Nie potrzebujecie mi grozić... — zawołał Jaśko. — Nie jestem królewskim pacholkiem, ale wojakiem, jak wy... Cieszę się, żeście ocalili, a zdradzać was niech mnie Bóg broni wszechmogący!

Innego słowa nie potrzebowali Jaksowie, więc zaraz się z nim ścisnąć zaczęli.

Jaśkowi pilno było dowiedzieć się o cudownej przygodzie Jaksów. Gdy dopytywać się zaczął, Andruszko przerwał:

— Nie badajcie nas, nie możemy mówić nic nad to, iż nas widzicie żyjących... Tajemnica to nie nasza.

— Lecz cóż myślicie z sobą? Uchodzicie do Ugrów, czy do Czechów? Do nieprzyjaciela kraju?—zagadnął Jaśko!

— Nie, kryjemy się, czekając szczęśliwej godziny, a do obcych nie myślimy iść... choć dzisiejszy dzień nauczyłby nas winien, jak to między swymi schować się od oczów ludzkich trudno i jak borsuka z jamy można słowem wykurzyć.

— Jeżeli w tej okolicy myślicie się ukrywać, ja wam też w Tęczynie ofiaruję chętnie gospodę...

— Za dobre serce niech Bóg płaci, ano, nie godzi się nam włóczyć po świecie — odrzekł Andruszko. — Przed wami wyznać możemy, że jesteśmy gośćmi na Tyńcu. Wyprosiliśmy się na łowy... Konia Jurkowi podciął raniony dzik, a słysząc tętent i szczekanie psów, nie wiedząc, kogo Bóg prowadzi, chcieliśmy skryć się na chwilę w gąszczu, aby nie być poznanymi, ale do klasztoru powracać nam trzeba. U was też gości często rycerstwo z Krakowa i skryćby się było niepodobna.

— Kąt juściby się znalazł, ale nie chcę gwałtu wam zadawać—odparł Jaśko. —Tylko mi na jedno pozwolicie, abym z pod moich sług najlepszego konia wziął i Jurkowi ofiarował za zabitego. Pieszko mi go żał puścić.

Jurko nie wymawiał się od ofiary.

Gdy się już do odjazdu sposobiono i bracia

ruszyli naprzód, nie oglądając się poza siebie, Jaśko z Tęczyna zawołał:

— A dzik? co z nim?

— Możecie go sobie wziąć, nam on na nic się nie zdał, w klasztorze mięsa nie jadają—odrzekł Andruszko.

— Naprawdę? Wieprz, co się zowie, wypasł się, jakby u mnie, rad mu będę. Ale ja darmo podarków nie biore, spoczniecie ze mną i posilimy się wspólnie, w klasztorze zapomnieliście o smaku mięsa, a i miodu tam nie sycą.

— Wracać bo nam trzeba — wymawiał się Andruszko niespokojny.

— Wróćcie wczas, odprowadzę was aż pod wrota. Gościłą skromną gardzić się nie godzi.

Zaraz też pachołkowie pokryli murawę białym płótnem i zaczęli rozpakowywać tobołki i znosić zimne mięsiwo, chleb, a i miodu starego beczułka się znalazła.

Na rozmowie przy kubkach dosyć czasu upłynęło, nie spostrzeżono nawet, jak zmrok zapadać zaczął. Wstali Jaksowie do odjazdu, wstał też Jaśko, ofiarując się dla bezpieczeństwa odprowadzić braci ku Tyńcowi. Tak tedy w towarzystwie jego ruszyli w las znowu.

Powrót do klasztoru łatwiejszym był z towarzyszem, Jaśko znał dobrze okolicę i był najlepszym przewodnikiem. Doprowadził ich aż do polany, z której gród tyniecki widać już było. Tu rozstać się musieli.

Na odjeździe Jaśko, wzdychając, zawołał:

— Jakbym ja wam rad był, gdybyście mi przybyli w gościnę!

Ale Andruszko głową potrząsnął...

— Siedźcież w dziurze zamknięci i poście z mnichami. A gdy zateśkniecie, huknijcie do mnie... choć na łowy razem pojedziemy w las!

— Jaśku—zawołał Jurko—a milczcie!...

Położyli palce na ustach, skinęli ku sobie głowami i pośpieszyli do klasztoru.

Wieczór już był późny, wrota były zaparte, przeor i braciszek Otmar niespokojni napróżno ich wyglądali. Ludzie, którzy wozili drwa do klasztoru, znaleźli konia zabitego w lesie i opowiedzieli o nim ojcom, stąd powstały domysły i trwoga o Jaksów.

Z widoczną więc radością otworzył im wrotnik, a brat Otmar wybiegł na ich spotkanie.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki, byliśmy w strasznej trwodze o was!...

— Nic się nie stało, ojcze.

— Ale dlaczego wracacie tak późno? czyście się zabłąkali w lesie?...

Jaksowie opowiedzieli o spotkaniu i wypadku, o zranieniu konia przez dzika i otrzymaniu podarku z konia, przyprowadzonego, zapewniając, że otrzymali przyrzeczenie zachowania o nich tajemnicy. Poczem odprowadzili konie do stajni.

Braciszek nie poznał zamienionego konia, a Jaksowie cichutko wrócili do swojej celi.

XII.

Przygotowania do stawienia się przed króla.

Po pierwszej tak nieszczęśliwej wyprawie do lasu Jaksowie nie śmieli się już wypraszać za furte klasztorną. Lękali się lekkomyślnego Jaśka z Tęczyna, nie bez przyczyny. Nie przeczuwali jednak, że to, co mogło być niebezpieczeństwem, szczęśliwym zbiegiem okoliczności przyczyniło się do ich wyzwolenia.

Po wczorajszych przygodach zaspali pierwszą mszę świętą, czego im wstyd było; to też gdy, obudziwszy się, zobaczyli w oknie dzień wielki i słońce, poczęli się co prędzej odziewać, aby choć na drugie nabożeństwo stawić się mogli.

Gdy, powróciwszy z kościoła, stanęli w oknie, a spojrzeli ku Wiśle na łąki i lasy zieleniejące, prawie na łzy im się zbierało. Tęsknica dojmowała im tem większa, że wiosna poczyniała się właśnie, a z nią pora do ciągnięcia w pola i w lasy. Na dumaniu i wzdychaniu przeszedł dzień cały, Jaksowie nie mieli nawet ochoty wyjść, jak zwykle, do izb, w których bracia zakonni pracowali.

Już wieczór nadszedł, gdy u furty usłyszeli wrzawę i ujrzeli przybywających dwóch jeźdźców. W niepewności oczekiwali coby to być mogło.

Gdy wkrótce usłyszeli kroki w korytarzu, drzwi się otworzyły i wszedł przeor.

Ujrzawszy go o niezwyklej godzinie, bracia, trwogą przejęci, wstali. Przeor twarz miał smutną,

jakby wyrok jaki przynosił, z którego oznajmieniem nie było mu pilno.

Postał chwilę i odezwał się w te słowa:

— Mężom mając zwiastować nowinę złą, czy dobrą, nie będę jej słodził, ni łagodził. Nadbiegł od opata naszego poseł umyślny, który mi rozkaz przyniósł, abyście z nim razem, nie zwlekając, do Poznania wracali. Napróżno starałem się go badać, co by to znaczyć miało. Poseł sam nic więcej nie wie, nad to, iż nakazano pośpiech i ostrożność wielką, abyście w drodze widzianymi nie byli. Niech więc Bóg was prowadzi, jedźcie ufni, że opat, który do ocalenia waszego się przyczynił, do ostatka was nie opuści. Zresztą poseł uwiadomiony jest o was i ma wam w podróży towarzyszyć; przyślę go tu, byście się sami z nim rozmówili o jutrzejszej podróży.

Zaniemieli, słuchając tych słów Jaksowie, spoglądali tylko na siebie. Przeor wyszedł, a wkrótce potem braciszek Otmar wprowadził dwu podróżnych. Obaj byli komornikami z dworu królowej, Jaksom z widzenia zaledwie znani. Starszy z nich, człowiek wielce wytrawny, małomówny, ostrożny, zwał się Samek; młodszy, Odrzyn, był pod rozkazami pierwszego.

Pozdrowiwszy Jaksów, Samek długo milczał; gdy bracia niespokojni pytali, zaczął opowiadać:

— W przededniu wyjazdu wezwała mnie miłościwa pani, nakazując, ażebym dobrał sobie pewnego towarzysza i z nim się zgłosił do opata, a co on mi powie, ma to być spełnione, jak gdyby sama królowa dała od siebie przykazanie. Wziąłem tedy Odrzyna, którego mam za dobre-

go towarzysza, i poszedłem do opata Arona. Ten mi rzekł:

— Konie weźmiecie dobre, zapas wszelki na drogę, jedźcie do Tyńca, nie mieszkając, znajdziecie tam dwu Jaksów, którzy na śmierć byli skazani, ale żyją. Zgłoście się do przeora, aby was do nich doprowadził i powiedźcie, iż żądam, by tu, do Poznania, wracali śpiesznie, po drodze nigdzie twarzy nie okazując i nie wydając się.

Usłyszawszy to z ust Samka, Jaksowie nic nie odpowiedzieli. Na śmierć czy życie powracać, było ich powinnością. Ci, co ich ocalili, mieli prawo nimi rozporządzać. Nie pozostało nic nad ślepe posłuszeństwo.

Zaraz też zajęli się wybieraniem w podróż. Równo ze świtem poszli żegnać przeora i mnichów zakonnych, którzy, gdy o wyjeździe gości posłyszeli, zebrali się wszyscy, aby ich na drogę pobłogosławić. Jaksowie bowiem umieli sobie zaskarbić miłość ludzką. Poczciwy braciszek Otmar tak się do nich przywiązał, iż namawiał, aby wracali używać spokoju, który tylko klasztor dać może.

Przeprowadzeni do furty, wyjechali z posłami, wynosząc w duszach wiele zmian, choć sami odmiany tej nie czuli.

Tęsknotę i niepokój prędko rozwiąły wrażenia podróży, a widok tego wiosennego świata przypomniał im dawne swobodne życie.

Chociaż Samek dobrze znał drogę, jednak zmuszeni unikać głównych gościńców, błędzili nieraz i podróż wlokła się nad miarę.

Gdy się już zbliżali do Poznania, Andruszko spytał przewodnika, co miał z nimi uczynić na miejscu. Samek odpowiedział, że nocą mieli wjechać przez furkę u tumu, tak aby ich na dworze nikt nie widział, a tymczasowo pozostać w izbie na tumie, która dla nich była wyznaczona.

Chociaż coraz większy strach ich ogarniał, nie wiedzieli bowiem, co ich czeka, w każdym razie woleli jakikolwiek koniec, niż takie przeciąganie niepewności.

Ostatniego dnia podróży, aby za widna nie wjechać na dworzec, przestali kilka godzin w lesie i tu o mało nie spotkało ich wielkie nieszczęście. W ostępie, w którym się rozłożyli, dnia tego król polował. Nie odrazu usłyszeli głosy psów i myśliwską wrzawę, tak, że ledwo mieli czas konie na paszy pozbierać i wcwał się oddalić.

Łowcy królewscy, posłyszawszy tętent koni, sądząc, iż ktoś przeszkadza królewskiej zabawie, puścili się w pogoń za uchodzącymi i byliby ich może pojмали, gdyby Samek nie wprowadził ich w gąszcze na moczary.

Przez to zdarzenie, zamiast przybyć do furty u tumu wieczorem, ledwo zdążyli późną nocą. Stojąca u furty straż, na rozkaz Samka puściła jeźdźców, a choć około tumu spali już wszyscy, dobudowano się stróża i dostali się wreszcie do izby spoczynku. Samek i Odrzyn, spełniwszy, co im przykazanem było, pożegnali się czule z Jakсами, do których w czasie podróży przywiązali się tkliwie.

Ległszy na słomie, którą na pośłanie dostali, znużeni podróżą bracia zasnęli, zapominając

o wszystkim, a choć w snach wracała im trwoga, nie obudzili się, aż dzwony i ruch koło kościoła sen im przerwały. Nikt się nie zjawiał i musieli czekać długo, aż przybył stróż, który o pożywieniu pomyślał.

Dzień cały upłynął, opat nie przybywał.

Dopiero nazajutrz po południu ujrzeli go wchodzącego. Rzucili się do ucałowania jego ręki, czekając, co im będzie zwiastował.

— Bóg łaskaw!—odezwał się opat.—Król miłościwie jest usposobiony. Godzinę tylko chce wybrać królowa, w której wraz z wami stawi się przed nim, błagając o przebaczenie. Nie trwóźcie się więc, ale czekajcie i bądźcie dobrej myśli.

To rzekłszy, opat oznajmił im zarazem, iż z rozkazu królowej dostaną nowe szaty, takie, w którychby się królowi stawić mogli. Dnia ani godziny oznaczyć nie umiał opat.

Radość wielka wstąpiła w serca Jaksów.

Innego uczucia doznawała pobożna królowa: mimo że jej opat dodawał odwagi, trwożyła się chwilami bardzo. Mógł król na widok winowajców unieść się gniewem, mógł wybuchnąć, mógł nareszcie przebaczyć Jaksom, a gniew swój cały wyrzucić na żonie, która dała przykład nieposłuszeństwa, poszedłszy wbrew jego rozkazom. W tym razie na wszystko będąc gotową, królowa modliła się tylko, aby przynajmniej ofiary, przeznaczone na śmierć, ocalone zostały.

Gdy nazajutrz po przybyciu Samka i Odrzy-na Emnilda ich ujrzała, domyśliła się, iż Jaksowie przybyli; zbliżająca się chwila stanowcza

strwożyła ją bardziej jeszcze. Dni tych Bolesław był chmurny, troska o koronę czyniła go niecierpliwym i niespokojnym. Dla Emnildy jednak miał wielkie poszanowanie, jej pobożność i łagodność rozbrajały go, ilekroć gniew nim owładał, sam widok tej spokojnej istoty, zawsze uśmiechającej się łagodnie, miarkował i zawstydział go.

Wahała się jednak Emnilda, nie będąc pewną wpływu swego na króla.

Teraz Bolesław często bywał samotny, brakło mu jego władyków, tęsknił za rodzinami, które się od dworu oddaliły, w radzie zbywało mu na mężach, do których zwykł był się odwoływać; przyjaciele i towarzysze opuścili go. Napróżno sam i przez opata starał się skłonić ich do powrotu: wierni mu byli, słuchali rozkazów, ale nie szli, jak dawniej, z ufnością ku niemu...

Na chwilę takiego rozdrażnienia trafiła nadchodząca królowa. Ujrzawszy ją, Bolesław podniósł oczy ku niej i rzekł:

— Mówią, że modlitwy ludzi świętobliwych są skuteczne, winnabyś pomodlić się, aby mi Bóg powrócił przyjaciół. Pusto koło mnie, nie mam ludzi! Na starość odbiegło mnie wszystko.

— Miłościwy panie—odezwała się królowa.— Dajcie mi moc, zabezpieczcie od gniewu waszego, a ufam w Boga, iż się to wszystko odmieni. Zdumiał się Bolesław.

— Jakiejże chcecie mocy? Jakiej poręki?

— Abym łaski i serca waszego nie straciła. O to tylko was proszę.

— Czyńcie, jako wiecie, że dobrem będzie. Tak świątobliwa, jak wy, niewiasta, zaprawdę złego nic uczynić nie może, a gdybym się zgniewał na was, ja byłbym winnym.

Królowa chciała rękę męża ucałować, lecz Bolesław z poszanowaniem dotknął ustami jej czoła.

— Czyńcie, nie pytam jak. Co zrobicie, dobrem będzie.

Na tę rozmowę jakby umyślnie nadszedł opat Aron.

— W porę przybywacie—odezwał się król.— Oto Emnilda żąda ode mnie bezpieczeństwa tylko, a obiecuje powrót moich przyjaciół utraconych. Bądź świadkiem, miły ojciec mój, iż przyrzekam gniew wszelki hamować i, co królowa zechce, spełnić.

— Ufam, że modlitwy świątobliwej pani naszej dokażą cudu!—zawołał opat.

Wstała królowa, dziękując jeszcze mężowi, oddaliła się.

Król zatrzymał opata. Nieustanną troską była mu korona, której tak pragnął.

— Cóżście obmyślili?—zapytał opata.

— Jedno jest do uczynienia—począł Aron.— Potrzeba, pominąwszy cesarza, słać do Rzymu, lecz tak, aby o wysłańcach nawet najbliżsi ze dworu nie wiedzieli. Z Niemiec dochodzą wieści, iż na gościńcach poczyniono wszędzie zasadzki na jadących z Polski ku stolicy ojca św. Arcybiskup magdeburgski podejrzewa nas o to, co istotnie uczynić mamy. Nie jednego więc posła, ale przynajmniej dwu, każdego innemi drogami,

posłać potrzeba do Rzymu po koronę. Wprawdzie obu z darami słać musimy, nie wiedząc, który z nich dojdzie bezpiecznie; obu też należy wyposażyć i skarb jeden poświęcić na stracenie.

Król ruchem ręki i uśmiechem pogardliwym okazał, jak mało dbał o straty.

— Mój ojcie, o złoto nie idzie; korona, poświęcona dla potomków moich, droższa jest nad wszystko. Ale gdzież ludzie, którymby poselstwo powierzyć można?...

— Znajdą się ludzie—odparł opat.—Dwu kapłanów, wiernych wam, dostarczy zakon nasz, rozsypany po świecie całym. Od klasztoru do klasztoru przejdą oni Niemcy, Włochy i wszystkie ziemie pośrednie. Dla obrony dodamy im dzielnych rycerzy, którzy dla was, królu, gotowi są życie położyć.

— Mnichów wy wybieriecie — odrzekł Bolesław — ale skąd weźmiemy tych, których mi na dworze coraz więcej brakuje?

— Jutro, miłościwy panie, mieć ich będziesz przed sobą.

— A imiona ich?—spytał król.

— Jutro twarze ich i imiona mieć będziesz, królu.

Bolesław patrzył zdziwiony na opata, lecz nawykł był taką mieć ufność w swym doradcy, iż nie pytał więcej.

— Jutro?—powtórzył.

— Tak, jutro!—potwierdził Aron.

Nadchodzący z pokłonami obcy goście prze-rwali rozmowę. Bolesław zwrócił się ku nim, wy-pytując o Ruś i o kraje, które przebywali w dro-

dze. Opat pod pozorem modlitwy skłonił się i oddalił. Szedł do królowej, która nań oczekiwała.

— Niech Bóg weźmie w ręce sprawę naszą— rzekła.—Jak skoro zmierzchnie, każcie Jaksów przywieść do mnie, by słowa prawdy usłyszeli z ust moich. Jutro stawia się wraz ze mną przed panem i mężem moim. Jutro!—dodała z trwogą.—Ale cóż to jutro przyniesie?...

— Zaprawdę radość wielką!—dodał opat.—Idę natychmiast zanieść im rozkazy.

Zwrócił się też zaraz do tumu, a znalazłszy się w celi więźniów, rzekł im odrazu:

— Przyodziejcie się przystojnie w suknie, które wam dano; jak skoro zmierzchnie, pójdziecie ze mną do królowej. Jutro ona sama zawiedzie was przed króla... Ufam w to, a nawet pewien jestem, że otrzymacie łaskę... Lecz myślicieź, iż koniec na tem?...

Andruszko odezwał się, że są gotowi na wszelką karę i na wszystko, co ich może spotkać.

— Za każde przestępstwo zapłacić potrzeba— odrzekł opat.—A kto pokuty nie odbędzie, cięży mu ona na sumieniu. Dlatego wyznaczyłem was do niebezpiecznego przedsięwzięcia, przez które łaskę królewską w zupełności odzyskać będziecie mogli... Musicie udać się w podróż długą i groźną utratą swobody, a nawet i życia... a jeżeli choć jednemu uda się to pozyskać, za czem oba wysłani będziecie drogami różnemi, zjednacie serce królewskie, zatrzecie pamięć lekkomyślności i przewinienia..

— Gotowiśmy na wszystko!...—zawołał Jurko.

Wielka była radość i pośpiech w przygotowaniach do stawienia się przed królową. Zaledwo zmierzchło, już oczekiwali u drzwi na znak, który im opat miał dać.

Oślonięci długimi opończami, czapki ponasuwali na oczy, szli za opatem. Choć ludzi było wszędzie dosyć, przesunęli się jakoś niepostrzeżeni i niepoznani.

XIII.

Ułaskawienie.

Śliczny był, jasny, ciepły dzień wiosenny. Pierwszy raz niebo przyodziło się lazurową szatą, po której, jak białe rąbki, snuły się miękkie, przejrzyste obłoczki, rozstępujące się w błękitach. Dzień był jakby świąteczny; ktokolwiek ujrzał go, weselał, wracało życie... Stały otworem drzwi, odsuwano okiennice, puszczając ciepłe powietrze do wnętrza mieszkań, jak gościa miłego. Twarze zdawały się mówić:

— Witaj, wiosenko!!

W królewskich podworcach wyglądało też świątecznie. Gości tego dnia napłynęło więcej, niż zwykle, wielu z nich śpieszyło do sądu i łaski pańskiej.

Bezprym dodnia wyciągnął na łowy z sokołem i małym dworem swoim. Mieszko przechał się z komornikami swymi, jakby zamyślał jakąś wyprawę, gdy od królowej matki przybył po-

słaniec, zwiastując mu, aby do południa nie oddalał się z grodu.

Mieszko, nie pytając o przyczynę, popatrzył na niebo i wrócił do izby.

Przed dworem królewskim stał mnogi lud różnych stanów. Byli tu i władcy możni, i wojacy, przybyli ze stron dalekich, i ubodzy kmiecie, i lud najuboższy.

Wśród obcych, przybyłych od granic, kręcił się ksiądz Petrek, szukając, czy między nimi nie było wysłańca jakiego z Magdeburga, dla rozpatrzenia, co się tu działo.

Dalej, na uboczu, stali poganie, Wilki i Luty-cy, odziani dziwnie, patrzący dziko, groźni na pozór, a wistocie strwożeni potęgą, która ich otaczała.

Te tłumy powoli wchodzić zaczęły do izby stołów czterdziestu, bo tuż i król miał się ukazać. Z palatium króla do owej wielkiej jadalni wiodła droga jedna pod dachem, druga przez dziedzińce. Czasem Bolesław wolał iść niewidziany, niekiedy dla okazałości z całym dworem swym ciągnął przez podwórze powoli, aby i lud ubogi widzieć mógł majestat królewski.

Tłumy, zebrane w podwórcu, nagle drgnęły, zakołysały się, jakby wiatr fale podnosił. W pod-sieniu ukazał się orszak królewski, a był tak wspaniały, jakby Bolesław miał pany i książęta przyjmować.

Szły naprzód pacholeta parami, na pół czerwono, pół żółto ubrane, za niemi komornicy w łańcuchach złotych na szyi, z laskami w rękę, dalej podkomorzowie w szubach jedwabnych,

miecznik niósł obnażony miecz, godło sprawiedliwości i siły, na ostatek Sieciech z łaską wysoką, złocistą poprzedał pana.

Strojny był pan, jakby do najdosłojniejszych gości wychodził. Na głowie miał kołpak z przepaską złocistą, szczerbczyk u pasa złotego, sadzonego drogimi kamieniami, suknię spodnią purpurową jedwabną, a na niej lekki kozuch soboli, okryty czarną tkaniną, która połyskiwała na słońcu.

Szedł, spierając się na lasce, jedną ręką w bok się ująwszy, spoglądając na ludzi okiem władcy, który czuje się panem, a chce być ojcem...

Jasne to było oblicze, jak w dniach zwycięstwa po walce. Reszta dworu ciągnęła za panem, trochę zbита i zmieszana.

Gdy się Bolesław ukazał i zatrzymał nieco u progu, pochyliły się wszystkie głowy, jak kłosa od wiatru. Niektórzy poklekali, ręce wyciągając ku niemu, inni na twarze padali. Lutyki i Wilki ścisnęli się w kupkę zbity, jakby się ulękli.

Popatrzył Bolesław i zwolna postąpił dalej. Z powagą, w milczeniu przesunął się orszak wśród tłumów i począł we drzwiach jadalni niknąć, aż komornicy i pacholeta wtoczyli się na koniec. Naówczas ruszyli się też goście, gdzie komu było przeznaczono.

W jadalni królewskiej pusto było, królowa jeszcze nie przyszła, stał tylko opat Aron. Z panów rady dwunastu dwóch zaledwie król znalazł oczekujących, reszty brakło mu od dawna.

Jakiś czas panowało milczenie i jakby oczekiwanie; oczy króla zwracały się często na drzwi, któremi królowa wchodzić zwykła. A gdy zdala usłyszał szelest szat, twarz mu nieco zbladła. Opat nie spuszczał z niego oka.

Ci, co stali wprost drzwi, któremi miała wejść królowa, oczy podniósłszy, poruszyli się i okrzyk stłumiony podziwu jakiegoś dał się słyszeć, lecz poszanowanie zaraz usta zamknęło.

Szła więc królowa uroczyście strojna, ze złotą przepaską na włosach, w sukni purpurowej ze złotem. Błada twarz jej, jakby jasnością jakąś była otoczona. Szła nie sama: z obu stron trzymała za ręce braci Jaksów, odzianych czarno, jakby pokutniczo, zbladłych, z oczyma spuszczo-nemi.

Król, ujrzawszy ich, drgnął cały; po twarzy jego przebiegły z kolei jakby gniewu płomień, niepewność jakaś, aż wreszcie wystąpiła na nią radość wielka.

W milczeniu szła Emnilda przed pana i ukłękła. Oba Jaksowie rzucili się na kolana i twarzami pochyłili do nóg królewskich... Chwilę trwało milczenie, królowej zabrakło tchu w pier-si... Podniosła oczy w górę...

— Panie mój i królu, przychodzę cię prosić o miłosierdzie dla siebie i dla tych dwu winowajców, których przed gniewem twym uchowałam. Przeszedł gniew... stawię ich przed tobą, błagając cię, bądź miłosierny, wzorem Chrystusa... ulituj się im!...

Król stał widocznie wzruszony, nagle ręce wyciągnął ku królowej.

— Bogu niech będą dzięki—zawołał.—Ocalenie dwojga drogich żywotów ludzi, których śmierć ja sam opłakałem... I tobie, Emnildo, nie przebaczyć, alem winien wdzięcznym być... Niech to będzie dzień wielkiego wesela, gdy mi do bo-ku wracają moi wierni... Podnieście się—dodał, zwracając się do Jaksów i ręce ku nim wyciągając. — Niech idzie w zapomnienie przeszłość... Spodziewam się, że ją zmażecie!

— Krwią naszą! — zawołali razem Jaksowie, całując ręce króla.

Na widok tego dziwnego pochodu ludzi, których wszyscy za umarłych mieli, zrazu strach ogarnął tłum cały. Cudem zdawało się ocalenie, oczom nie wierzono! Potem, gdy przemówiła królowa, gdy odpowiedział król, podniosły się okrzyki nieskończone. Podrzucano kołpaki, podnoszono ręce, radość malowała się na licach, ludzie poruszeni cisnęli się bliżej ku panu.

Śmiała się twarz pańska weselem, jakiego dawno nie widziano na niej. Radość ogólna odbijała się na królu. Spojrzał na czarne suknie Jaksów i zwrócił się do Sieciecha:

— Nie przystały im te smutne szaty! Idźcie i przebierzcie ich w odświętną odzież ze skarbcza, zawieście im na szyjach łańcuchy, na pasach przypaszcie miecze. . Idźcie i wracajcie tu, abyśmy weselili się wspólnie.

Sieciech, którego twarz, z trupiobladej w początku, coraz żywszym oblewała się rumieńcem, ze łzami w oczach ruszył, zabierając z sobą obu młodzianów, a wzrok wszystkich poszedł za nimi.

Królowa, osłabła i rozplakana, musiała usiąść ażeby przyjść do sił.

W orszaku królowej jaśniała, jak gwiazda, twarzyczka Teodory Sieciechówny, a ktoby był nie wiedział jej tajemnicy, łatwo byłby się domyślił.

Bolesław siadł z wypogodzonym obliczem i, zwracając się do opata, rzekł żartobliwie:

— Wasza przewielebność takżeście pono do spisku należeli, za co niech wam będą dzięki, jak również wszystkim tym, co mi tej krwi drogiej oszczędzili!... Do Tyńca dodam wam lasu przestrzeń nową i łąk, aby została się pamiątka dobrego uczynku!

Wtem w podwórzu zatętniało ogromnie, jakby wojsko całe wtargnęło na gród, słyhać było rzenie koni i wrzawę. Naprzeciw stołu królewskiego poodsuwane okna dozwalały widzieć orszaki jakieś, napływające w podwórze. Byli to Jaksowie i ich powinowaci, którym z rozkazu królowej znać dano, aby przybywali i oczekiwali, aż się dokona dzieło miłosierdzia. Zdawna nie widziani ci wszyscy, co dwór królewski opuścili, wracali z dziękczynieniem...

Gdy w progu stanął ten tłum, na przodzie którego szli starcy, twarze miłe, porąbane, bliznami zorane, dalej młódź rycerska, niewiasty, a nawet dzieci, bo ojcowie pozabierali swe rodziny, aby padły do nóg parze królewskiej... Bolesław uniósł się na siedzeniu z nietajoną radością.

Wszyscy szli schyleni ku niemu.

— Nie do mnie! przed królową na kolana! Ona to uczyniła cud... ona! jej dziękujcie!...

Królowa osłabła w tej chwili, i niewiasty podtrzymać ją musiały; lico jej okryła bladość prawie śmiertelna... i nieprędko otwały się oczy łez pełne...

Wtem dały się słyszeć trąby. To Sieciech wiódł braci Jaksów, przyodzianych rycersko i strojno, którzy teraz powtórnie padli do nóg Bolesławowi i Emnildzie. Za nimi to samo uczynił cały ród Jaksów i ich powinowaci: wstawszy, okrążyli oni ułaskawionych kołem i, zapomniawszy na obecność króla, płacząc z radości, jęli po kolei ich ścisnąć, podając sobie z rąk do rąk. Nigdy na dworze pańskim takiej nie było wrzawy. Już cichło, gdy ktoś na nowo wybuchnął okrzykiem, a za nim rozchodziły się głosy przez wszystkie izby i wybiegały na podwórce, a tam stojące tłumy powtarzały je po całym grodzie, na podzamczu nawet, choć nie wiedziano, czemu się weselono... Co żyło, biegło, pytało, a dzieliło wielką tę radość z panem.

Ks. Petrek stał przed swą izbą z zaciśniętymi ustami, blady, z głową spuszczoną, słuchał tych okrzyków i uśmiechał się gorzko. Ten i ów, postrzegłszy go na uboczu, przybiegł z oznajmieniem o wesołej nowinie.

XIV.

Choroba i śmierć królowej.

W kilka dni po tej uroczystości zjawiała się na jednym z podwórców stara Panicha, którą wszyscy za czarownicę mieli. Szła, rozglądając

się ostrożnie, ku komnatom królowej, wreszcie wsunęła się chyłkiem we drzwi.

Gdy wyszła, blada była i trzęsąca się, aż padła pod ścianą, nawpół zemdlona.

Gdy przyszła nieco do siebie, ujrzała nad sobą karła królewskiego, Zyga, który wykrzywił się dziwnie.

— Stara ty czarownico—wołał—co ty tu ścianę królewską walasz, ocierając się o nią... Jeśli ci czas przyszedł zdychać, idź do psiarni... Upiłeś się gdzieś na podzamczu, a przyszedłeś tu piwo wydychać. Że cię też psy nie zjedzą!...

Panicha poczęła wstawać, ale zaledwie z trudem podnieść się zdołała, gdy Zyg popchnął ją, śmiejąc się, i znowu padła, przeklinając go, aż wreszcie, kij schwyciwszy, bronić się jęła. I Zyg też miał kij pod ręką, wywiązała się walka, której ze śmiechem przyglądała się gawiedź zamkowa. Wreszcie Panicha, potłuczona i z poszarpaną przez psy odzieżą, wymknęła się.

Odtąd nie odzyskała już rozumu, krzyczała coś o oczach, co patrzą na nią ze ścian, mówiła od rzeczy, wreszcie po trzech dniach znikła gdzieś bez śladu.

Tegoż dnia z rana rozeszła się wieść, że królowa Emnilda zachorowała.

W przededniu, wróciwszy z kościoła, Emnilda zażądała napoju: złoty jej kubek stał na stole, kazała sobie weń nalać wody, wypila ją i, stawiając go na stole, szepnęła, że woda tego dnia dziwny smak jakiś miała.

I nie dziwota: trucizna to w niej była, zada-



...popchnął ją, śmiejąc się...

na przez niegodziwą Panicę, którą nasłała margrafówna Oda, chciwa tronu i ręki królewskiej,

W godzinę potem oczy Emnildy poczęły zachodzić śmami, uczuła ból w głowie i musiała naprzód usiąść, a potem się położyć. W nocy stan ten się pogorszył, a nazajutrz królowa już nie podniosła się z pościeli.

Na całym zamku, w mieście, gdziekolwiek się o tem dowiedziano, żal ogarnął ludzi, królowa bowiem była matką ubogich i upośledzonych, orędowniczką u króla, opiekunką wszystkich potrzebujących opieki. Król rzadko jej prośbę odrzucił, miał bowiem dla niej cześć niezwykłą.

Zdawna już na znużonej twarzy tej świętobliwej niewiasty widać było, jak jej życie ciężyło, często mówiła, iż czuła się słabą i nie obiecywała sobie długiego wieku. Nie spoczywała jednak i nie zamykała się u siebie. Codzień przychodziła zająć swe miejsce przy panu, trwała na nabożeństwach, karmiła swoich ubogich.

Dopiero dnia tego dowiedzieli się wszyscy, że królowa leży i wyjść nie może, strwożyli się więc bardzo.

Nazajutrz, gdy znowu nie wyszła do jadalni, Bolesław, nawykły od lat wielu widzieć ją u boku swego, nie ujrawszy dzień drugi jej twarzy, co mu pokój i pociechę przynosiła, posłał zaraz po wieści niespokojny, a potem sam poszedł do komnat żony.

Zastał ją leżącą, bladą, z oczami straszliwie jaśniejącemi, lecz przytomną i modlącą się spokojnie.

Rozmaite rady niewieście, któremi ją leczyć chciano, nie pomagały. Z każdą godziną stan jej się pogorszał. Lekarzy naówczas nie było, jedynym, co słyszał szeroko, był biskup praski, starzec, sam sparaliżowany, którego rady zasięgnąć nie było podobna...

Rzucono się więc do modlitwy: po wszystkich kościołach nakazano nabożeństwa. Z tumu przyniesiono relikwie świętych, rozesłano do klasztorów, aby uroczystymi modłami błagali Boga o zachowanie życia królowej.

Na królu widać było smutek tak wielki, jakiego nie pamiętano. Milczący siedział, posyłając co chwila dowiedzieć się o zdrowie królowej. W kościołach dzień i noc nie ustawały modły publiczne i pieśni.

Królowa, przy której łożu zajęła miejsce Ryksa synowa, otoczona całym swym niewieścim dworem, leżała cierpiąca, choć nic nie zdawało się zwiastować pogorszenia. Osłabłą była, skarżyła się na boleści, lecz uśmiechała się do otaczających.

Już parę dni upłynęło, a żadnej prawie zmiany nie było, więc nadzieja zaczęła wstępować we wszystkich, iż choroba się przesili. Królowa sama nie okazywała ani trwogi, ani troski o swe życie.

Trzeciego dnia zażądała duchownego, któryby ją wyspowiadał i dysponował na drogę wieczności... Potem była już spokojną i mniej cierpiącą, sen przyklnął jej powieki. Na dworze radoowano się już, że to polepszenie przeważy na życie. Król ślubował złoty krzyż do Gniezna.

Lecz gdy się Emnilda obudziła, żądając widzieć syna i wnuka, ledwie miała siłę pochylić się do nich, aby ich ucałować.

— Nie trwóźcie się — mówiła — nie płaczcie! Godzina moja przychodzi, idę na lepszy świat, do najdobrotliwszego z ojców, pełnego łaski. Tu jestem już niepotrzebna, tam mnie czeka spoczynek i szczęśliwość. We śnie widziałam anioła pańskiego, który mi zwiastował, że powołuje mnie Ojciec niebieski.

Sługom nakazała przybrać się w białe szaty, a potem modliła się po cichu.

Płakali wszyscy... znowu byli w obawie o jej życie.

Przebyła jednak królowa tę noc i dzień następny. Zaczęto znowu pocieszać się nadzieją. Lecz życie to zwolna uchodziło, siły ubywały, ale uśmiech łagodny zostawał na jej ustach.

W jednej części wiernych choroba ta obudzała żal i obawę o przyszłość, w drugich, dziwne z nią rosły nadzieje. Bezprym, choć królowa Emnilda była dlań zawsze dobrą i łaskawą, a wielokroć wstawiała się za nim do ojca, uśmiechał się dziko na wiadomość o chorobie. Tak samo ksiądz Petrek wyglądał końca choroby, którą zawczasu osądził śmiertelną. Było mu na rękę, jak i wszystkim przyjaciołom cesarza, doczekać się zgonu królowej. Spodziewali się oni Ode, lub inną Niemkę na dwór wprowadzić, a z nią ustalić wpływ tajemny Niemców, aby w ten sposób przyszłość Polski podkopać.

Ksiądz-pisarz chodził jednak na nabożeństwa błagalne i starał się, aby go tam wszyscy widzieli.

Królowa gaśła widocznie, chociaż otaczający jej łożę łudzili się ciągle nadzieją. Czasem zdawała się silniejszą, uśmiechnęła się do Teodory Sieciechówny, przemówiła do Ryksy, zbladłą ręką pogłaskała wnuka, potem opadała znużona i powieki jej się zamykały.

Dzień cały nie przyjmowała już pokarmu. W nocy ujrawszy u stóp łoża Sieciechównę, skinęła na nią.

— Teodoro moja, czas się zbliża! — rzekła. — Któż wie czy doczekam rana? Idź, proszę, powiedz ojcu swojemu, że raz jeszcze chcę pożegnać króla, niech przyjdzie do mnie.

Zapłakana pobiegła Sieciechówna; zbudzono Bolesława, który natychmiast poszedł do królowej.

Zobaczywszy go, podniosła się Emnilda ostatnim wysiłkiem, ręce wyciągając ku niemu. Kazano się oddalić wszystkim, król padł na siedzenie.

— Panie mój! mnie Bóg powołuje, chciałam cię pożegnać i podziękować za lata spędzone z tobą. Nie zapominajcie o duszy mojej! Przyszłość widzę przed oczami mojemu, niech ci Bóg da siły do dźwigania jej, bądź szczęśliwym. Mężnym bądź! Pomnij tylko, aby ta, którą weźmiesz po mnie, była godną ciebie, patrz, abyś nieprzyjaciela nie posadził w domu i u stołu twego.

Umilkła, Bolesław nie rzekł też słowa. Przyszły mu na myśl lata przeżyte z córką Dobromira, niezamęczone niczem, pogodne, w ciągu których on często potrzebował przebaczenia,

a nigdy nie był zmuszony przebaczać Emnildzie. Żal niezmierny ścisnął męskie serce króla; zdało mu się, że z tą cichą i zacną towarzyszką odchodzi jego szczęście.

Zbliżył się do królowej, usta jej szeptały jeszcze modlitwę, lecz gdy je całował raz ostatni, uczuł, jak stygły, a rysy pokryły się śmiertelną bladością.

Z rękami na piersiach złożonemi, w których ścisnęła krzyż, z modlitwą na ustach przestała żyć królowa Emnilda.

Na krzyk straszny, który się wyrwał z ust króla, nadbiegł dwór cały, a widząc martwą królowę, rozżalony padł na kolana u łoża.

Sieciech wyprowadził króla, a drugimi drzwiami biegli ludzie z płaczem i jękiem do ciała.

W mgnieniu oka rozeszła się po dworze ta straszna wieść.

— Królowa umarła!

Była to chwila, gdy dzień zaczynało; ludzie budzili się do pracy. Dzwon żałobny odezwał się na tumie, straszną wieścią przerażając wszystkich.

Ksiądz Petrek, posłyszawszy go, zerwał się także. Po chwili już był odziany i wybiegł ze swej izby. Ludzie, zawodząc i płacząc, snuli się w dziedzińcach, zdała widać było zbliżający się tłum ludu wiejskiego. W powietrzu latały słowa:

— Królowa, pani nasza kochana, umarła.

Dziwny uśmiech skrzywił usta sługi cesarskiego, lecz zaraz przyoblókł twarz żałobą.

Chociaż wolą zmarłej było, ażeby pogrzeb jej odbył się tak, jakby w zakonie życie skończyła, choć kazała pogrzebać się w sukni mni-szej, król słuchać o tem nie chciał.

Nakazał, aby oddano cześć największą zwłokom królowej, grzebiąc ją ze wspaniałością należną i złożono obok Mieszka, tam, gdzie on sam chciał spoczywać.

Rycerstwo, panowie, duchowieństwo natychmiast zwołani zostali. Z Gniezna i Trzemeszna mieli przybyć kapłani, a mnogi lud i tak już gród oblegał.

Trzeciego dnia po zgonie odbył się więc pogrzeb z przepychem owych czasów, z jałmużnami i darami, z nabożeństwem uroczystem, za którym szło wszystko co żyło w mieście i okolicy.

Gdy nazajutrz rozplynęły się tłumny i do zamku wróciło życie powszednie, choć, jak zwykle, ludzi i gwaru nie brakło, pustka, którą zostawiła po sobie Emnilda, dała się odczuć wszystkim. Młoda Ryksa, choć także pobożna, lecz dumna i niedostępna, nie mogła jej zastąpić.

Królowi też bardzo brakło tej towarzyszki wiernej, której siedzenie stało próżne, pokryte czarnem suknem.

Opat Aron, chcąc odwrócić myśl króla od tego smutku i żałoby, przypominał mu dwa poselstwa, które wyprawione być miały. Szczegóły, o których król musiał myśleć, układając wyprawę, odrywały myśl jego od wspomnienia królowej.

XV.

Zdrady ks. protonotarjusza.

Dni wiosenne szły po sobie coraz cieplejsze, lato się zbliżało. Na dworcu Bolesławowym po pogrzebie Emnildy ruch był zwiększony; dalej mieszkający, do których ta wieść żałobna później dopiero doszła, przybywali, aby na miejscu z panem podzielić żal po ukochanej królowej. Niemców też wiele kręciło się między gośćmi; ci, służąc cesarzowi, niewidzialną siecią opasywali Bolesława.

Ks. Petrek, zabiegając, podsłuchując, łapiąc poszlaki, doszedł do tego, iż poselstwa do Rzymu się domyślił. Wiedział, że jeden z Jaksów jest do boku posła przeznaczony. Choć opat tał przed nim i przed wszystkimi, co przedsiębrał, miał on między Niemcami z dworu Ryksy takich, co donosili mu o wszystkim.

W księdzu-pisarzu budziła się chęć pomszczenia za rodzaj chłodnej wzgardy i nieufności, jaką mu opat okazywał.

Dnia jednego wszedłszy do opata, zastał dwu mnichów, o których nie mógł dowiedzieć się w jakim celu przybyli; to go zaciekało, poszedł na zwiady. Znano go, jako podręcznego pomocnika opata Arona, nie wszyscy więc przy nim trzymali usta zamknięte. Tegoż wieczora wiedział już ksiądz-pisarz, że dwaj benedyktyni, przybyli z Tyńca, a jak mówiono, podróż jakąś wielką mieli przedsiębrać.

Nie wpadł na myśl dwu poselstw ks. Petrek, ale jednego się domyślił. Był już tego prawie

pevien. Szczęściło się dosyć przebiegłemu przyjacielowi cesarza, a umiał też wyzyskać każdą najmniejszą zręczność.

Tegoż ranka Andruszko miał polecony wybór konia i przysposobienie się do podróży. Spotkał go ksiądz-pisarz i zaraz z wielką czułością począł mu winszować szczęścia, jakie go spotkało, unosząc się nad królową. Andruszko, szanując duchownego, wiedząc, iż do dworu należał i opatowi służył, nie bardzo miał się na ostrożności. Wiedział już, dokąd i poco go wysyłano, choć nakazaną miał tajemnicę, ale nie czuł się obowiązany zachowywać ją względem duchownego od boku opata.

— Konie rozpatrujecie — rzekł, uśmiechając się ks. Petrek. — Potrzeba je dobrać tak, aby mogły wytrzymać długą, ciężką, niebezpieczną wyprawę, — oczami dając do zrozumienia, że wie o wszystkim.

Andruszko też nie wątpił o tem.

— Życie bym gotów dać, aby miłościwemu panu jak najlepiej usłużyć.

— Niebezpieczna, trudna wyprawa, gorzej niż przeciw jawnemu nieprzyjacielowi — dodał ksiądz, wzdychając. — Na baczności się mieć będzie trzeba od niespodziewanych zasadzek...

Andruszko potwierdził to ruchem głowy.

— Kraj nieznany, ludzie obcy, a wielce przebiegli... Daj Boże podołać temu...

— To już nie moja rzecz, ale tego, co lepiej znając wszystko, prowadzić będzie... Ja w obrobie tylko i na posłudze mu sławać muszę — odrzekł Andruszko.

— Mam-li dać radę? Nie szukajcie manowców, nie schodźcie na małe drożyny, wielkim gościńcem najmniej się was będą spodziewać... i jechać najbezpieczniej. Powiedzcie to, ale od siebie przewodnikowi... Nie domyślą się kto jesteście, widząc, że się nie kryjecie.

— Rozumna rada!—potwierdził Andruszko.

— Ku południowi i w cieplejsze dążycie kraje, kozuchów i opończy nie zabierajcie, ciężar to daremny...

Andruszko uśmiechnął się potwierdzająco, a ksiądz-pisarz, będąc już pewnym swojego, odszedł śpiesznie do celi, na zrzynku skóry ostrzeżenie napisał, pieczęcią woskową i sznurem je opatrzył, wyszedł na miasto i wyszukawszy pewnego posłańca, kazał pismo to doreczyć straży cesarskiej w Magdeburgu jak najśpieszniej.

Na gościńcach więc większych, którymi jechać doradzał, pewnym był pilnych straży, a tem samem pochwycenia królewskiego posła. Szczęście, że tylko jedną wyprawę odgadywał, gdy wistocie dwie ich wysłanych być miało.

Dla tem pewniejszego omamienia ks. Petrka, którego się obawiał opat, kazał mu wygotować list do arcybiskupa magdeburskiego, polecający jego modlitwom duszę królowej, przyczem miał być dołączony dar dla duchowieństwa u grobu św. Maurycego, a razem prośba nagląca o pośrednictwo u cesarza w sprawie korony. Tym listem zajęty opat spędził kilka godzin z ks. Petrkiem.

— Przewielebny ojcie — odezwał się ksiądz Petrek.— Wszystkim nam, wiernym sługom wiel-

kiego pana naszego, idzie o utrzymanie go w najdłuższe lata!... Niech mi więc wolno będzie odezwać się w tej sprawie.

Opat spojrział ciekawie.

— Na smutek miłościwego pana niema innego ratunku, jak tylko tę panią nieodżałowanej pamięci królowę zastąpić inną u boku jego. A skądże miłościwemu panu żonę weźmiemy, jeśli nie z pomiędzy chrześcijańskich rodów niemieckich, z którymi połączenie mogłoby też wojnom zapobiedz, może...

— Nie rychło o tem będzie się godziło mówić—przerwał opat.

— Zapomniałem też donieść waszej przewielebności, jakie tu niedorzeczne chodzą plotki... Wiem przecie z ust waszych, iż innych starań o koronę, jak tylko przez cesarza i arcybiskupa magdeburskiego niema... a są plotki, że wprost do Rzymu do ojca świętego ma być poseł wysłany... Jużciż, gdyby tak być miało, jabym coś o tem wiedział. Baśń jest licho sklecona.

Opat, posłyszawszy to, mimo mocy, jaką miał nad sobą, zbladł i wybuchnął gniewem.

— Że ludzie plotą takie baśnie, nie dziwię się, ale dziwno mi, że wy ojcze, je powtarzacie...

— Z obowiązku—rzekł ks. Petrek, głowę zniżając.—Wasza przewielebność o wszystkim powinna być zawiadomiona.

Mówiąc to, ks. Petrek spojrział w oczy opatowi, lecz opat, już spokojny, odezwał się:

— Zaprawdę baśń godna tych próżniaków, co siedzą na dworze i nie mają się czem zając, z palca sobie wykręcają niestworzone rzeczy...

Mój ojciec, ani słysząc tego, ani na to zwracać uwagę... I ja nieraz słyszę rzeczy, którym gdybym chciał wierzyć, przysłoby zwątpić o ludziach. Alboż myślicie, że we mnie nie usiłowano wmówić, iż wy, którzy jesteście prawą ręką moją, służycie arcybiskupowi magdeburgskiemu i cesarzowi, a co się u nas dzieje, donosicie na dwór niemiecki.

Ks. Petrek, siedząc nad pulpitem, zatrząsł się cały; głowa jego spuszczone nad pergaminem nierychło się podniosła, głosu nie mógł wydobyć; dopiero gdy ochłonął, odezwał się drżącym, cichym głosem:

— Potwarz to niepocziwa, niegodna, aby mówić o niej.

Lecz opat, podnosząc się z siedzenia, odparł spokojnie.

— To też widzicie, że nie wspomniałem wam nigdy o niej, choć od dawna mnie nią karmiono.

Mówiąc to, z postawą dumną wyszedł z izby.

Pisarz, odprowadziwszy go do progu z pokorą, wrócił chwiejającym się krokiem. Za progiem zaraz stanął nieruchomy, osłupiały, jak wryty, z oczyma wlepionymi w ziemię, zapominając o wszystkim, co go otaczało. Stał tak długo, długo...

Słowa opata Arona jak rozpalone iskry latały mu po głowie. Był więc poznanym, odgadniętym, on, co sądził, że schwytanym być nie może i jest bezpieczny. Co miał radzić na to, nie wiedział sam. Poszedł do stołu, zaopatrzył się w pergamin, odepchnął pulpit i padł na swe siedzenie.

— Kto mnie mógł zdradzić?... — pytał ciągle.

Strwożony, trząść się począł jak w febrze.

— Jeżeli opat słyszał o tem... król wie... a król... może rzucić do ciemnicy... zesłać do benedykty-nów, którzy mnie zamkną jak więźnia na wieki... Uciekać!... Jak i dokąd? Niepodobieństwo!...

Męczeństwo, na które mógł być skazany, przerażało go. Nie był na nie przygotowany. W myślach powstał zamęt niewysłowiony i wreszcie ks. Petrek przypomniał sobie że miał w swojej izbie pismo arcybiskupa magdeburgskiego. Wstał, drzwi zarygłował i poszedł do swego mieszkania, aby wyszukać te kartki, które były jawnym dowodem jego zdrady. Chciał je zniszczyć, lecz w tem trudność była wielka, bo spalenie ich mogło być dostrzeżonem, a skóra nie łatwo się pali. Postanowił więc je zakopać gdzieś w miejscu bezpiecznem.

Co prędzej zebrawszy zwitki, wysunął się ostrożnie na podwórze i wyszedł szybkim krokiem za okopy. Tu, wszędzie było tak wielu ludzi, iż w pobliżu miasta nic nie mógł zrobić; musiał iść dalej w las, gdzie, jak mu się zdawało, nikt go spostrzedz nie mógł. Pod korzeniami starego dębu naprędce wykopał dołek i wrzucił co przyniósł z sobą, zasypał ziemią, zakrył liśćmi, udeptał aby wyrównać poruszoną ziemię. Gdy tę czynność szczęśliwie dokonał, lżej odechnął. Obejrzał się jeszcze dokoła, nie było nikogo, żadna gałązka się nie poruszała, las i okolica milczały.

Spokojniejszy, wziął za kij i wracał ku miastu powoli. Zbierał myśli, aby postanowić coś na przyszłość. Co miał czynić? Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, której żadnego dowo-

du nie miano w ręku. Ktoś zapewne oskarżył go, pochwyciwszy pogłoski na dworze magdeburskim, ale słowa bez dowodów łatwo było odeprzeć. Opat Aron prawdopodobnie nawet im nie wierzył. Ze wszystkich rozmyślań wypadło mu, że pozostanie na dawnym stanowisku i będzie się starał obudzić na nowo zaufanie, ale służyć jak dotąd sprawie cesarstwa. Postanowił tylko być ostrożniejszym. Cierpliwość i pokora były najlepszem lekarstwem na podejrzenia. Z temi myślami zbliżył się ks. Petrek do miasta.

Uszło jego baczного oka w chwili przestraczu, jaki go opanował, iż przy zakopywaniu zwitków pergaminu miał świadków.

Traf chciał, że dwaj Jaksowie przed rozstaniem się chcieli na osobności porozmawiać z sobą.

Wyszli więc godzinę przedtem do lasu i położyli się na trawie o kilkanaście kroków od owego dębu.

Szelest nadchodzącego śpiesznie pisarza zwrócił ich uwagę; zamilkli i byli mimowolnymi świadkami zakopywania jakiegoś, jak się im zdawało, skarbu. Zaraz po odejściu ks. Petrka, którego mało co znali, Andruszka począł się śmiać z nieostrożności księdza-pisarza i chciał nauczyć go większej baczności w ważnych sprawach. Śmiejąc się, bracia poszli na miejsce, które dobrze widzieli i rozgrzebawszy dołek, z łatwością dobyli ukryte zwitki. Zdziwiło ich to, dlaczego ksiądz potrzebował taić się z nimi.

— Nie czysta to rzecz—rzekł Andruszko.

— A może Pan Bóg chciał, abyśmy jaką zdradę niebezpieczną odkryli. Nie przeczytamy tego... idźmy więc do opata...

Opat Aron znajdował się w tumie. Gdy zobaczył ich nadchodzących, sądząc, że o podróżu co mówić mają, począł ich uspokajać, aby cierpliwie czekali na rozkazy.

— My tu nie z tem przychodzimy — odezwał się Andruszko — ale ze śmieszłą sprawą, która może ma i większe znaczenie.

I począł opowiadać jak się rzecz miała.

Na twarzy Arona odmalowała się radość i zdziwienie, sięgnął po zwitek.

Istotnie oddaliście królowi przysługę... choć wypadkiem. Proszę was, milczcie o tem!

Skłonili się Jaksowie.

— Ks. Petrka trzymam, mimo że oddawna wiem, iż nas zdradza, dlatego, aby go innym nie zastąpiono. Ale by było, gdyby się czego domyślał. Nie mówcie nic... nikomu.

Jaksowie wyszli uradowani, a opat zabrał się do czytania zwitków z pomocą drugiego mnicha.

Ks. Petrek, wróciwszy do swej celi, choć w duchu uspokojony znacznie, jednak całą noc sny gorączkowe niepokoiły go. Zrywał się, zdawało mu się, że zwitki zakopane w ziemi ktoś wydobył. Obudził się w potach zimnych, ogarnęła go trwoga, bo na ów czas wierzono w sny. Jak świt, zerwał się i pędzony niepokojem pobiegł w las, aby wydobyć pergaminy i ukryć je gdzieindziej.

Jakiż go przestрах ogarnął, gdy ujrzał już zdala rozrzuconą ziemię i dołek próżny.

Blady upadł u stóp dębu, utraciwszy przytomność. Ktoś widać go podpatrzył, wyjął te świadectwa zdrady i zaniósł do grodu, były one

dlań wyrokiem potępienia. Nie mogąc długo przyjść do siebie, siedział ks. Petrek na ziemi z oczami osłupiałemi, sam już nie wiedząc co począć. To, co czynił dla bezpieczeństwa, zgubiło go, albo zgubić mogło co chwila. Na pergaminach było jego nazwisko... wyprzeć się ich było niemożliwem!

Prawie do południa przesiedziawszy w lesie, wreszcie podniósł się i machinalnie powlókł na zamek, gdyż ucieczka bez przygotowania była niepodobieństwem.

Gotów już był na nieuchronne męczeństwo. Jednakże, wróciwszy do drzwi swej celi, znalazł tylko wiadomość, że go do opata wzywano. Poszedł natychmiast.

Ani z twarzy, ani z mowy nie mógł wcale się domyśleć, że tajemnica jego odkrytą została. Opat Aron żądał spisania jakiegoś nadania nowego, które król czynił dla Sieciecha. Gorliwie się wziął do roboty ksiądz-pisarz i nieco uspokojony wrócił do celi, aby tam wykaligrafować akt, który mu polecono spisać.

Podróż do Magdeburga od dnia do dnia była odkładaną, aż wreszcie ks. Petrek ze swą trwogą został na dawnym stanowisku.

XVI.

Wyprawa po koronę. Przygody posłów.

Dni kilka upłynęło bez żadnej zmiany na królewskim dworze. Ks. Petrek, widząc, że w obejściu z nim nic się nie zmieniło, nabrał jakiejś otuchy.

Uchwalono wysłać pierwszego Andruszkę z ojcem Romualdem, benedyktynem i kilku z czeladzi, dobranych między wiernymi królowi Niemcami. Pozorem dla nich miało być poselstwo do cesarza.

Ojciec Romuald, mający prowadzić tę gromadkę, znał dobrze kraje, którymi miał przybywać i o ile się to dało, zamierzał jechać od klasztoru do klasztoru, spoczywając u swej braci zakonnej i u niej zasięgając wiadomości o bezpieczeństwie gościńców.

Andruszko miał powierzoną straż i obronę, ze zwierzchnią władzą nad czeladzią i pilnowanie złota, które wieziono w podarku dla papieża.

Chociaż wszystkie środki bezpieczeństwa obmyślane były jak najbaczniej, a opat Aron byстрыm umysłem przewidywał co i gdzie się stać mogło, nie tajono przed sobą, że tej wyprawie groziło pojmanie, niewola, ciężka przeprawa...

Ojciec Romuald jechał z rezygnacją zakonnika i spokojem podwładnego, spełniającego rozkazy przełożonych; Andruszko gotował się choćby na śmierć.

Ostrożność w grodzie była tak wielka, iż dla niezwrócenia uwagi wyprawiano ludzi pojedynczo, a na oddalonym stanowisku miał się zebrać cały poczet i razem wyruszyć. Aż do granicy miała prowadzić jadących niewidzialna straż, dopiero przebywszy Łużyce, opuścić ich za Łabą. Tu grozić mogło niebezpieczeństwo od włóczących się gromadami Wendów, dotąd niezupełnie ujarzmionych.

Przyjechawszy do samej Marchji bez wypadku, o. Romuald pełen był otuchy. Na ostatnim noclegu wszyscy przybrali suknie i oręż takie, jakie były między Niemcami najczęściej używane. A że z języka trudno było rozpoznać różne plemiona Słowian, dalej przedstawiać się mieli jako Czesi w poselstwie do cesarza wyprawieni. O. Romualdowi przykrem było, iż był zmuszony do fałszywego o sobie świadectwa, lecz rozkazów przełożonego słuchać musiał.

Od granicy do pierwszego opactwa, w którymby bezpiecznie stanąć mogli, dosyć było daleko. Kołowano więc tak, aby jak najmniej z ludźmi się spotykać, a noc spędzać w zaroślach i miejscach pustych.

Nie był ten kraj jeszcze tak zamieszkałym, ani tak ludnym, jakim się stał później; zawsze jednak uderzała podróżnych postać jego odmienna aniżeli u siebie. Zdawało się widać było gródki, wieże, kościoły i liczne osady. Starano się omijać znaczniejsze miasta.

Podróżni już dostali się do Magdeburga szczęśliwie i posuwali śpiesznie dalej, sądząc się być coraz bezpieczniejszymi, gdy jednego wieczora znaleźli się nad sporą rzeczułką, wiosennymi wodami wezbraną. Dla podróżnych był tu przygotowany prom, stojący właśnie u drugiego brzegu. Niedaleko tego przewozu widać było na wzgórzu, oblanem wodą, znaczny zameczek z wieżą okrągłą i mnogimi budynkami.

Gościniec szedł pod samą górą.

Andruszce zdawało się, mimo nadchodzącego zmroku, iż na przeciwnym brzegu dojrzał kupkę

jezdnych. Wskazał ich o. Romualdowi, ale ten, czując się już bezpiecznym, nie widział w tem nic, coby ich zastraszyć mogło.

Gdy na zawołanie prom ruszył, aby ich przewieźć, uderzyło to Jakse, iż nie wszyscy się nań zabrali, a więc jakby na czatach stać tam musieli.

O. Romuald utrzymywał, że pewnie spoczywali po przewozie.

Z powodu rozlanych szeroko wód musieli dłużej czekać na przewoźników, którzy, wpatrując się pilnie w gromadkę, milcząc zabrali ich na prom, licho zbity, a zaledwie mogący pomieścić ludzi i konie.

Andruszko, który na wszystko miał oko, niepokojnym był, widząc, jak bacznie im się przypatrywano.

Owa gromadka ludzi na przeciwnym brzegu wcale nie ustępowała. Na połowie rzeki już mogli dojrzeć, że to byli uzbrojeni pachołkowie, którym dowodził stojący na przodzie, pokaźniejszy wąsał, czarno zarosły. Stał on twarzą zwrócony ku promowi i bacznie się przypatrywał zbliżającym. Jaksą, nie już nie mówiąc o. Romualdowi, sposobił się do obrony, i ludziom dał znak oczami, aby się na baczności mieli. Gdy prom już zbliżał się do lądu, pachołkowie, stojący u brzegu, na skinienie dowodzącego, obstąpili kołem miejsce, gdzie miano wylądować.

O. Romuald zaręczał, że to nie więcej, tylko okup od przewozu, który naówczas wszyscy właściciele zamków na swych ziemiach pobierali od przewozu, często przy tej sposobności rabowali

podróżnych, więzili, a nawet zabijali. Puszczono najpierw księdza, którego suknia duchowna najlepszą była obroną. W chwili, gdy koń jego stąpił na ląd, dowódca gromadki kazał jadących zatrzymać.

Butno i hałaśliwie pytał podróżnych, kim byli, skąd i dokąd jechali? O. Romuald spokojnie powiedział mu, iż od czeskiego króla jechali z listami do cesarza, a za przejazd zapłacą, co należy.

Dowódca pokręcił głową i zawołał:

— Dużo włóczy się takich ludzi po świecie, co się mienia być od królów, a jeżdżą, aby kupczyć, ludzi oszukiwać, a drugim chleb odbierać... Mnie wy nie oszukacie.. Okazać trzeba listy i pieczęcie... Inaczej za darmo pojeździecie!...

Oparł się benedyktyn, okazując suknię swą duchowną.

— Albo to łotry i sukni cudzej nie mogą włożyć!—zawołał krzykliwie dozorca.—Na burg! Tam się rozprawimy...

Tuż wznosiła się góra, na której stał zameczek. Zdala we wrotach widać było gromadę ludzi, czekających na skinienie dowodzącego węsala.

Choćby Andruszko ze swoją gromadką przebił się przez tych, co mu drogę zastępowali, niepodobieństwem było zbiedz od licznej pogoni. Musiano więc iść do burgu; tam zaraz pachotkowie ich otoczyli. Ładowne jukami konie budziły ich łakomstwo, dowódca uśmiechał się i pędził, czeladź patrzyła szydersko na schwytanych.

Benedyktyn nie tracił jednak nadziei, że na burgu potrafi się rozmówić, okupić i uwolnić.

W milczeniu jechali ku górze drogą kamienną.

Andruszka nie mógł nawet wydobyć miecza dla obrony, jechał więc smutny, ze złem przeżuciem w duszy.

Dociągnęli tak do pierwszej bramy, a dowodzący kazał im jechać wprost na drugi podwórzec. Ten był obszerny bardzo i dokoła otoczony murami. Zaledwie się tu znaleźli, gdy we drzwiach ukazał się mężczyzna silnej budowy w kaftanie skórzanym; ten podszedł wprost do księdza. Ze śmiałego obejścia się jego i dumnej postawy można było w nim poznać pana domu.

Nie mówiąc nic, począł przypatrywać się bacznie księdzu, ludziom, koniom i jukom, obchodząc ich dokoła. Szczególną uwagę zwracał na konie.

O. Romuald zaczynał kilka razy do niego mówić, lecz on nie odpowiadał, jakby nie słyszał.

Obejrzawszy wszystko z uwagą, zbliżył się do benedyktyna z brwią namarszczoną i spojrzał mu w oczy.

Mnich tłumaczył mu, skąd i poco jechali. Graf wysłuchał go, uśmiechając się tylko. Na twarzy jego malowała się radość. Gdy o. Romuald skończył, graf roześmiał się głośno i uderzył go po ręce.

— Mnichowi, jeśli nim istotnie jesteście, kłamać się nie godzi... Jam was poznał po koniach! My tu was czekamy już dawno... Wiem ja lepiej,

skąd jedziecie i dokąd... Posłani jesteście od Bolka polańskiego, aby mu, mimo cesarza, koronę kupić w Rzymie... Na was już na wszystkich drogach czatują i wiedzą o was! A mnie szczęśliwie się udało tę zdobycz pochwycić...

Książd chciał mówić, lecz graf krzyknął:

— Z koni! Wziąć ich... loszek mam już przysposobiony. Spodziewam się, że nie jechaliście z próżnemi rękami, a mnie właśnie tego potrzeba... na odbudowanie po spaleniu!...

Andruszko chciał się bronić, ale go czterej ludzie chwycili i ściągnęli z konia, miecz wyrwano mu z ręki. To samo stało się z innymi, których w mgnieniu oka rozbrojono. Nawet książd nie uszedł zniewagi.

Gromady ludzi wtoczyły się w podwórcę, jedni obdzierali pochwyconych, drudzy z koni odwiązywali juki. Graf, przypatrując się ze śmiechem, stał uradowany.

Listy, przeznaczone do Rzymu, miał o. Romuald wszyte w kapturze, a że mu jako duchownemu suknię zostawiono, więc i listy ocalały.

Choć dowodu innego nie było, jak tylko poznanie po koniach, a w jukach szaty i uzbrojenie, starczyło to grafowi.

Ciężar worów skórzanych, w których było bryłami złoto, upewnił grafa, że się nie omylił.

Na widok tak wielkiej ilości złota zawrzało w całym zamku niesłychaną radością. Więźniów, ani słuchając ani na nich patrząc, kazano związać i do lochu prowadzić. Pędzono ich, popychając i bijąc, a w dziedzińcach poza nimi rozlegał się śmiech szyderski i drwinki.

Andruszce z gniewu prawie krwawe łzy z oczu się sączyły. Gdyby nie zbyt ufny benedyktyn, byłby prom zawrócił ze środka rzeki, rozbił go i przy mroku wieczornym może uszedł. Tak myślał sobie. Lecz teraz narzekanie było próżne. Rozdzielonych na dwie grupy wpędzono do głębokiego podziemia, zaryglowawszy mocno.

O. Romuald ukląkł do modlitwy, Andruszko włosy rwał z głowy.

Graf Zeno był lennikiem arcybiskupa magdeburskiego; ubezpieczywszy więc zabrane złoto, natychmiast siadł na koń, aby zanieść panu swemu wesołą nowinę.

U arcybiskupa radość była wielka, gdy dowiedziano się o pochwyceniu posłów polskich. Powstał jednak wkrótce spór o zabrane złoto, które chciwy graf za własność swoją uważał.

Arcybiskup posłał z groźbą do grafa o zwrot przynajmniej połowy skarbu. Graf nie chciał ustąpić, lecz zagrożony uwięzieniem, uszedł do swego burgu, na którym w ostateczności postanowił się bronić.

Straże, które pochwyciły podróżnych, były postawione przez arcybiskupa, więc i złoto zdobyte należało do niego.

Graf Zeno powrócił rozsierdzony, zwołał strażę i gotował się do obrony.

Tymczasem arcybiskup postanowił dowiedzieć się, ile grzywien złota wieźli posłowie; wyprawił więc do ks. Petrka z zapytaniem.

W kilkanaście dni po wyprawieniu Andruszki, gdy opat zbierał się drugie poselstwo wyprawić innemi drogami, do celi ks. Petrka zapukał poseł

arcybiskupa, brat Makary. Ksiądz-pisarz oniemiał, ujrzawszy go przed sobą. Nierychło rozpoczęły się szeptu potajemne. W godzinę potem poseł arcybiskupi, prowadzony przez Harna, szedł nocować na podzamecz, a ks. Petrek namyślił się i podążył do tumu, gdzie spodziewał się zastać opata. Zdało mu się, iż nadarzyła się sposobność odzyskania dawnego zaufania. Wszedłszy do opata, odezwał się pisarz z pokorą:

— Wasza przewielebność, złą wiadomość przynoszę, ale zła lepsza, niż żadna, gdy o tak ważną rzecz idzie!...

Opat zmilczał. Ks. Petrek mówił dalej:

— Mnich wędrowni z Magdeburga był dziś u mnie. Staralem się go wybadać. Utrzymuje on, iż graf Zeno pochwycił mnicha i kupkę ludzi, wysłanych jakoby z Poznania do Rzymu!...

Spojrzał na opata, który pobladł i drgnął widocznie.

Opat namyślał się chwilę, a westchnąwszy, rzekł spokojnie:

— Wiedziałem, że tam na takich posłów czaiją, ale wola króla. Pan nasz miłościwy chciał raz próbę uczynić.

A po małym przestanku dodał:

— Gdzież jest ten mnich?

— Śpiesznie powędrował do Gniezna, nie można go było zatrzymać...

Nastało milczenie, ks. Petrek stał, czekając na jakie słowo. Opat podziękował mu chłodno.

Ks. Petrek, chcąc się jeszcze dowiedzieć, jak wielką była wartość wysłanych darów, wtrącił

więc ubolewanie nad poniesioną stratą, pytając, jak była wielką.

Opat, nie chcąc się wdawać w długą rozmowę, odrzucił:

— Król sam wyznaczył, co wieść mieli... Z pewnością podarek dla ojca świętego znaczny być musiał...

Dwoma westchnieniami zakończyła się rozmowa.

Zaledwie wyszedł ks. Petrek, opat posłał braciszka po Jurka. Chwila ta zdawała mu się najbezpieczniejszą do wysłania drugiego posła, gdyż teraz go nigdzie się nie spodziewano.

Jurko z towarzyszem swym duchownym czekał tylko na rozkazy, rad jak najprędzej odbyć tę podróż, miał bowiem obiecane od ojca Teodory, że zaraz po powrocie staną do ślubu.

Nie zważając na spóźnioną porę, zbudzono Jurka, i w kilka godzin już drugi orszak wyruszył na niebezpieczną wyprawę.

Następnego dnia, gdy król w jadalnej sali nie znalazł między zgromadzonymi młodszego Jaksy, domyślił się, że opat musiał go wysłać za bratem. Przy końcu uczty, przy której król siedział posępny, zbliżył się opat do niego.

— Wyprawiliście Jakse? — zapytał Bolesław cicho.

Skinieniem głowy potwierdził opat Aron.

— Niema wieści o pierwszym?

Nie doczekawszy odpowiedzi, król spojrzał. Opat miał oczy spuszone, stał zachmurzony. Łatwo było odgadnąć, że mówić nie chciał. Bolesław nie spytał więcej.

Nie śpieszono uwiadomić króla o losie pierwszej wyprawy, pomimo że każdego dnia wspominał o koronie. Kazał sobie liczyć dni podróży do Rzymu, opowiadać, którymi drogami będą jechać. Naówczas opat malował trudności podróży i niebezpieczeństwa. Wistocie nietylko przez Niemcy sięgała władza cesarska, obejmowała ona Włochy, podlegały jej też wszystkie kraje sąsiednie.

Po kilku dniach od wysłania Jurka, gdy wieczorem opat wracał do celi swej przy tumie, ujrzał kupkę ludzi, zebranych koło dwóch pielgrzymów w sukniach podartych. Zbliżywszy się, ks. Aron, zdziwiony wielce, poznał swego benedyktyna, a obok Andruszkę, ogromnie wynędzniałych.

— Bóg miłosierny! uwolnili was! — zawołał opat.

O. Romuald i Andruszka rzucili się do powitania. Mnich zaś, wskazując na Andruszkę, zawołał:

— Jemu jestem winien, żem wolny.

I zaczął opowiadać, jak zostali rzućni do lochu, jak potem zawdzięczali łątościwej córce stróża, że ich przeniesiono do izby nad ziemią. Tam Andruszko nocą kratę wyłamał, a spuściwszy się wraz z o. Romualdem wyszukał przejścia i na plecach przeniósł go przez bagnisty przepióp, otaczający zameczek. Nim zaświtało, ucieczkę odkryto, lecz zbiegowie już byli w lesie, a kierując się instynktem łowieckim, potrafili dobić do Łaby, gdzie już jakąkolwiek pomoc znaleźli.

Uradował się opat, ściskając obu przybyłych, o których losie już zwątpił.

Nazajutrz, gdy już trochę odpoczęli, Andruszko przyszedł prosić opata, aby go raz jeszcze wysłano, gdyż wstyd mu było, iż tak nędznie wpadli w ręce zasadzki i byli przyczyną tak wielkiej straty.

Tego jednak bez wiedzy króla nie było można uczynić. O. Romuald także oświadczył się z gotowością towarzyszenia Andruszce, biorąc na siebie całą winę pierwszego nieszczęścia.

XVII.

Król poślubia Niemkę.

Niechętnie patrzył cesarz Henryk na Polskę, silną, samodzielną, wyłamującą się z pod jego wpływów; zapragnął odzyskać je znów za wszelką cenę.

Dowiedziawszy się o śmierci królowej Emnildy, a korzystając z doświadczenia, jak korzystnem było dla Niemców narzucenie Mieczysławowi Niemki Ody, postanowiono obdarzyć Bolesława drugą podobną, aby przez nią zyskać to, co im się z ręki wyślizgało.

Tego dnia przybył do króla niezwykle gość z małym orszakiem. Był to Niemiec, przyznający się do powinowactwa z Mieczysławem przez drugą jego żonę, Odę. Pokrewieństwo to nie przeszkadzało zatargom z Bolesławem, a nawet i napaściom na niego. Obecnie panowała zgoda, wy-

zyskano więc ten moment. Samo przybycie Guncelina kazało się domyślać, że Niemcy znowu coś knują. Tym razem nie chodziło im o wojnę, jak zwykle, mieli co innego na myśli. Guncelin, nie mówiąc nic, jechał do Bolesława, jako potajemny swat. Oda markgrafówna gotowa była zająć miejsce królowej Emnildy.

Na ten związek czyhali nieprzyjaciele Bolesława; był im konieczny, a łatwym się zdawał.

Choć na polach bitwy spotykali się z Guncelinem, jako wrogowie, pod dachem króla był to gość, którego przyjmowano wystawnie i ochoczo, starając się go uczcić i zabawić. Król też zbywał się trochę smutku, zmuszony nakłaniać się do zabawy.

Guncelin, wojak w polu, z miodem też prowadził walkę zwycięską i nie odpychał kubka o żadnej dnia porze. Pomimo to, bacznie uważał na wszystko, co się działo, na każde słowo, ruch, lub zmarszczenie brwi tego, którego bratem nazywał poufale.

Król lubił okazywać Niemcom możność swą i siłę. Kazał więc wyjeżdżać pocztom swoim, strojnym każdy w inną barwę, pancernikom, których żelazne łuski na słońcu błyszczały; tarczownikom, biegającym zręcznie z oszczepami i toporami, dworowi występować w bogatych szatach, niewiastom—odzianym w złoto i drogie kamienie.

Guncelin spoglądał na to okiem zazdrosnem, ale od podziwu wstrzymać się nie mógł.

Raz, gdy siedzieli sami, odezwał się Guncelin:

— Tobie, bracie, we wdowieństwie nie żyć. Żony ci potrzeba.

— Emnildy drugiej nie znajdę — odrzekł Bolesław.

— Ani jej szukaj nawet... Ja ci swatem chcę być...

Pytającem okiem rzucił Guncelin na króla, ale Bolesław wstał z siedzenia i rozpoczął inną rozmowę o sprawach wojennych. Niemiec ze swatami umilknąć musiał.

Po wieczery siedzieli znów u dzbanów, nalewano miód stary i wino, pili oba milczący. Wreszcie Guncelin głos zabrał:

— Bracie — smutno u was — żał mi cię. Żonę przecie musicie wziąć, pocóż ściągać z tem. Ja wam mówiłem — swatem będę.

Bolesław spojrzał nań ciekawie.

— Pani wielkiego rodu, młoda i piękna.

— Ale któż ona? mów!

— Znacie ją dobrze! — ciągnął dalej Guncelin, nie spuszczać z króla oczu. — Markgrafa córka, co bawiła na waszym dworze...

— Dla mnie straszna ona, pokoju-bym nie miał i chwili.

— E! lepsza ona niż inne; jak czepiec włoży. będzie dobrą żoną, uspokoi się — krzyknął, śmiejąc się, Guncelin.

Bolesław, niewiedzieć, żartem czy na serjo, począł:

— Jakby na królowę wyrosła, w koronie-by jej pięknie było i na ramionach płaszcz purpurowy zawiesić nie żał.

Guncelin, sądząc, że trafił na dobrą chwilę, chciał prowadzić rozpoczętą rozmowę, ale król znowu zwrócił ją na inne sprawy. Przyszło do pogańskich krajów, do których Niemcy prawa sobie rościli.

Namarszczył się Bolesław.

— Ci moi być muszą! — rzekł. — Podbiję ich i nawrócę.

— Idą przecie z nami na was! — odezwał się Guncelin.

— Pójdą ze mną przeciw wam! — rzekł Bolesław.

Niemcowi rozmowa była niemiłą, począł pić i nucić piosenkę. I tak, patrząc sobie w oczy, a do ładu dojść nie mogąc, dosiedzieli do nocy.

Gościna się przeciągnęła. Guncelin wybierał się, mówił o podróży, ale nie wyjeżdżał. Codzień miał na ustach Ode, a rzadko mu się powiodło dłużej nią zająć króla. Uważał jednak, że Bolesław okazywał coraz mniejszy wstręt do tej rozmowy, a raz już nawet sam o nią zagadnął.

W ostatku był przeznaczony dzień odjazdu. Nikt ze dworu nie jechał bez podarków, więc i Guncelinowi wydzielił król wspaniałe dary: były tam futra kosztowne, sztuki sukna i złotogłowiu, naczynia srebrne i złote. Przeciw zwyczajowi brakowało tylko oręża i zbroi.

— Żelaza ci nie dam—wolę złoto, bo nie jestem pewien, czybyś miecza znowu przeciw mnie nie użył... — rzekł Bolesław, klepiąc go po ramieniu...

Z pod brwi spojrzał na króla Guncelin i rzekł:

— Bracie mój, ja cesarstwu służę i wiernym być muszę, anim winien, gdy na ciebie oręż podniosę.

— Ani ja winien będę, gdy ci głowę utnę! — odparł Bolesław.

Na wyjeźdnem spytał się jeszcze Guncelin żartobliwie, czy ma być swatem do Ody?

— Czas mi dajcie — mruknął Bolesław. — Jak tęsknica doje. Nie wiem!

— Ja bez waszej woli zacznę starania o nią, bo wiem, czego wam potrzeba.

Na tem się skończyło i Guncelin wybrał się w drogę.

Król tegoż wieczora przywołał do siebie opata.

— Kusił mnie ten ten człowiek, abym żony szukał.

Opat zwlekał z odpowiedzią.

— Miłościwy panie! Po takiej, jaką była zmarła święta pani nasza, niełacno dobrać inną.

Król nie śmiał nalegać.

Aron zwrócił się w okno i już nic nie mówił. Pomimo że opat nie chciał słuchać nawet o połączeniu króla Bolesława z Niemką, swatanie Ody szło nieprzerwanie rozmaitemi drogami. Stara ochmistrzyni Adelajda Niemka, którą Ryksa sprowadziła, zjednana była przez makgraфа, a że często z wnuczką chodziła do króla, który rad z nią żartował, ona też na swój sposób stręczyła Odę. Bolesław, pieszcząc wnuka, pozwalał jej prawić sobie, co chciała. Naówczas obyczaj więcej, niż później, zbliżał prostych ludzi do panów.

Adelajda chwaliła królowi markgrafównę.

— Stary dla niej jestem—odparł król.

— Przecie markgrafówna Oda odjeżdżała z płaczem, mówiąc, że chyba umrze z tęsknoty za miłościwym panem i królem naszym.

— Mówiła to?

— Sto razy! A co też się tam łez wylało i leje... Miłościwy pan jużby litość nad nią mieć powinien.

Mówiła tak długo, aż nakłoniła króla, więcej niż swaty Guncelina, niż ostrożne namowy innych pochlebców.

Począł myśleć, zagadnął po raz wtóry opata, ten był milczący, okazywał niechęć do takiego związku.

Aron bystrem swem okiem widział sieci, które snuto dokoła, a w połączeniu króla z Odą przeczuwał plagę, powiększającą wpływy niemieckie.

Bolesław nie chciał widzieć tego; gdy w kilka dni potem opat znalazł się u króla znowu, oświadczył mu wprost, że postanowił zaślubić markgrafównę Ode.

— Miłościwy panie—odparł spokojnie ksiądz Aron.—Woli waszej nikt nie śmie się sprzeciwić... lecz wierni słudzy twoi będą boleć nad tobą.

— Boleć? dlaczego?

— Z markgrafówną przybywają niemieccy ludzie i stosunki z tymi, którzy druhami nigdy ci nie będą.

Bolesław pogardliwie się uśmiechnął.

— Niewieści wpływ strachu mi nie czyni

Stanie się królową. to i pokocha kraj, który ją przyjął.

Opat skłonił głowę. Król mówił wiele, nie wywołując już odpowiedzi; chciał opata przekonać i na swą stronę przeciągnąć, lecz czuł, że tego dokonać nie potrafi.

Nazajutrz powołał Mieszka, który już słyszał o zamiarze ojca.

Gdy chłopiec stanął przed ojcem, znać było z twarzy, że gotował się na niemiłą przeprawę.

Bolesław odezwał się stanowczo:

— Tęskno mi samemu. Postanowiłem zaślubić markgrafównę Ode, ciebie wyznaczyłem w poselstwie po nią.

Spojrzał na syna, który stał z głową spuszczoną, milczący.

— Wybierzesz orszak świetny i niezwłocznie wyruszysz w drogę z podarkami...

Mieszko milczał. Widząc brew króla zmarszczoną, odezwał się.

— Do nóg waszych upadnę, błagając, byś mnie uwolnił od tego.

— Skoro rozkazuję?

— Błagam cię...

— Śmiesz mi się opierać?

— Nie mogę jechać... nie pojadę...

— Mów dlaczego?

— Łacno to pojąć: Ody na królowę wszyscy nie chcemy.

Zaległo milczenie, Bolesław nie znosił nieposłuszeństwa. W pierwszej chwili był zdolny rzucić się na syna, lecz się powstrzymał.

— Idź!... Uchodź ode mnie!... Z oczów mi idź!...

Nie mówiąc słowa, Mieszko wyszedł.

Bolesław w gniewie na Mieszka przypomniał sobie Bezpryma. Zawołał komornika i kazał natychmiast stawić syna przed sobą.

Komornik, przybyły z rozkazem królewskim, który słyszał rozmowę z Mieszkiem, szepnął służbie Bezpryma, że Mieszko naraził się ojcu i dlatego wzywano starszego syna.

Gdy, podniósłszy zasłonę, stanął Bezprym przed ojcem, znalazł go jeszcze z gniewem i niecierpliwością wrytą na twarzy.

— Wyznaczyłem cię, abyś jechał w poselstwo i przywiózł mi markgrafównę Ode... Biorę ją za żonę. Dam rozkazy, aby ci podarki ze skarbca wydzielono. Jedź, jak syn królewski i ojcowskiego mienia nie żałuj.

Bezprymowi twarz się rozjaśniła.

— Co rozkażesz, spełnię. Kiedy mam wyruszyć?

— Jutro! Jedź spiesźnie, wracaj, nie bawiąc... Zapomnij, żeś był u mnie w niełasce, zyskasz tem serce moje.

— Miłościwy królu i ojcie—zrobię jak potrafię najlepiej... Przywiozę markgrafównę...

— To wybieraj się w drogę! — przerwał Bolesław i wskazał mu drzwi; Bezprym uradowany wyszedł.

Ledwie znalazłszy się w swem mieszkaniu, zaczął Bezprym opowiadać swojemu wiernemu słudze o szczęściu, jakie go spotkało, gdy wszedł Sieciech z dwoma starszemi dworzanami, szukając posła królewskiego, aby się z nim naradzić o wybór ludzi, koni i przygotowania do drogi.



Staął Bezprym przed ojcem... Str. 160.

Niespodziana łaska króla dla tego odepchniętego syna dziwiła wszystkich, lecz posłusznymi być musieli. We dworze całym wiadomość o postanowieniu króla najrozmaitsze obudziła uczucia: niepomrotnie cieszyli się jedni, rozpaczali drudzy.

Rykza chodziła blada i milcząca, Mieszko był przygnębiony; bali się, by Bezprym, zyskawszy serce ojca, nie został wyznaczony na jego następcę.

Opat, przeczuwając złą przyszłość, chodził zasmucony i milczący. Starzy wierni słudzy króla i rycerstwo niewesołe też mieli twarze. Młodzież cieszyła się, że młoda królowa wesele na dwór wniesie.

Niemiecki dwór radował się też wielce. Adelajda przyznawała sobie część zasługi i obiecywała sobie wiele od młodej królowej. Ks. Petrek cieszył się powodzeniem swej podziemnej roboty.

Wieczora tego nigdzie nie było spoczynku. Szeptano, chodzono, jedni wybierali się w drogę, drudzy im pomagali. Na podwórcu Bezpryma, zwykle spokojnym, był ruch, jak nigdy; kręcili się komornicy i urzędnicy królewscy, znoszono juki i wory, szaty i oręż. Bezprym kazał zebrać się ludziom, którzy mu towarzyszyć mieli, sam ich opatrzył, kilku wydalil i rozporządził pochodem, okazując, że rozkazywać potrafi.

Słońce już było podeszło na niebie, gdy wszyscy, na konie siadłszy, przeciągnęli przed królem, pokłon mu składając. Orszak był prawdziwie dla panny młodej dobrany, młódź najpiękniejsza, zbroje i szaty najświetniejsze, pióropusze u hełmów,

błyszczące miecze, tarcze malowane, wodzowie w złotych łańcuchach, pasami drogiemi opasani.

Gdy ruszono z podwórców, gromady stały, patrząc, okna pełne były głów. Wiedziano już, po co Bezprym jechał, który na czele po raz pierwszy jako królewicz i wódz występował.

XVIII.

Otrzymanie i przewiezenie poświęconej korony.

Nie będziemy iść w ślad za dwoma poselstwami, które zdążyły do Rzymu po koronę. Jurko, wyprawiony z o. Gerbertem, był szczęśliwszy. Udało im się przebyć całe Niemcy bez wypadku, choć kilkakroć byli zatrzymywani. W początku garstka ta, przybrana tak, aby nie zwracać na siebie uwagi, przesuwiała się bocznemi drożynami, były one niewygodne, puste, lecz od zasadzek bezpieczne. Klasztory, w których odpoczywali, dawały o. Gerbertowi za przewodników braciszków, znanych w okolicy.

I tak opowiadając się, że klasztorne mienie prowadzą, bronili się od napaści łakomych rycerzy, które naówczas były w zwyczaju, zwłaszcza w Niemczech.

Niebezpieczną była podróż po Europie w tych czasach, kiedy na warownych zameczkach siedzieli rycerze, wiodący spory w obronie praw i uroszczeń swoich. Mimo ustanowionych praw innych, prawo silniejszego było niemal najgłośniejszem.

Zwolna i pod ciągłym strachem szła podróż Jurka z o. Gerbertem, aż do samych wrót wie-

kuistego grodu. Gdy tu nareszcie dotarli, wśród wycia wichru, który kurzawą napełniał powietrze, wszyscy padli na kolana z dziękczynną modlitwą, czując, że tylko cudem dobić się mogli do celu podróży.

Ale była to dopiero połowa wielkiego i trudnego dzieła. W Rzymie cesarz niemiecki miał wpływy potężne. Należało działać z wielką oględnością i nie wydać się z poselstwem, dopóki by wszystko nie było przygotowane.

Przybycie do Rzymu było bardzo trudne, dopięcie celu nie mniejsze, nakoniec, gdyby się koronę dostało, przewiezienie jej do kraju było trudnością największą. Rozumiał to o. Gerbert. Był on żelaznym mężem, wypróbowanym życiem. Przez całą drogę modlił się, mówił mało, nie skarżył się nigdy, chociaż i głodu, i niewygód zażyć było potrzeba.

Jurko, wpatrując się w niego, starał się go naśladować. Kierował gromadką i w karności ją trzymał. Rzym był wówczas na poły w ruinach, pełen jednak zabytków z wieków potęgi i chwały. Wszystko tu świadczyło o przeszłości skończonej, o narodzie wielkim, ale umarłym, pogrzebionym, który jednak długie musiał żyć wieki, by tyle dokonać. Przybyszowi z kraju drzewa i szalasów snem się wydał wspaniałym, niezrozumiałym, niepojętym.

O. Gerbert u wjazdu do bramy miejskiej opowiedział się jako mnich, benedyktyn, przybywający w sprawach zakonu. Nie zwracając uwagi na siebie, przedostali się za Tyber, do klasztoru benedyktyńskiego.

Tu byli spokojni, listy i świadectwa zapewniały bezpieczeństwo.

Orszak o. Gerberta umieszczono w gospodzie, która dla obcych była przeznaczona, zdala od klauzury.

Jurko, szczęśliwy, że straszna podróż jest już skończona, był tak zdumiony i przejęty wszystkim, iż nie pożył jakiegokolwiek spoczynku.

Przejeżdżając ulicami, widzieli orszaki panów świeckich i duchownych, bogato strojne, zachowujące się jakoś dziwnie swobodnie, lud zaś tak odmienny od tego, do jakiego Jurko był nawykły; wszystko to nęciło jego ciekawość.

Na Zatybrzu, koło klasztoru było dość cicho, a mury zasłaniały wszelki widok, ale przejeżdżając Jurko widział ze zdumieniem twierdzę okrągłą, basztami otoczoną, wysokie okólne mury grodu, najeżone wieżami, sterczącymi wysoko, marmurowe kolumny, gmachy rozległe. Wobec tych wspaniałości wszystko, co dotąd widział, wydało mu się nędznem i małym. Pierwszego dnia pozostał sam, bo o. Gerbert znikł mu z oczu zupełnie. Nazajutrz znaleziono braciszka słowiańskiego rodu, który mógł się z Jurkiem rozmówić, jemu zaś kazano się przebrać, aby nie zwracał uwagi i pozwolono przejść się po mieście, którego widoku był ciekaw.

O. Gerbert chodził tymczasem koło wielkiego dzieła, a wymagało ono wiele starań i zachodu.

Wkrótce usłyszał wysłaniec opata Arona, że w Rzymie już wiadano o żądaniu przez Bolesława korony, cesarz jednak sprzeciwiał się wydaniu. Papież Benedykt także miał pewne

pretensje, rościł sobie bowiem szczególne prawa do Gniezna, gdyż Oda, druga żona Mieszkowa, zapisała je stolicy apostolskiej, wraz z sąsiednimi ziemiami.

Przewidując to, król Bolesław polecił zapewnić papieża, iż będzie uważał się jego lennikiem i chętnie złoży grosz do skarboxy św. Piotra, chociaż Oda ofiarowała to, czego nie miała i czem rozporządzać nie było w jej mocy.

O. Gerbert, nie wążąc się sam na wyjednanie korony u papieża Benedykta, posłał innych. Powoli i z trudnością toczyły się rozprawy o środkach, jakich trzeba było użyć, aby dostąpić celu.

Jurko tymczasem patrzył, dziwował się i uczył. Kilkanaście dni upłynęło, a nic jeszcze nie uczyniono. Jednego dnia, gdy Jurko, znużony skwarem, spoczywał na matach w swej izbie, posłyszał szelest jakiś, otworzył oczy i ujrzał stojącego nad sobą Andruszkę. Niezmiernie zdziwiony i ucieszony, porwał się z posłania, i bracia rzucili się sobie w objęcia. Młodszy prawie oczom swoim nie wierzył, bo się takiej uciechy nie spodziewał.

Ojcowie Gerbert i Romuald nabrali teraz otuchy, bo podwójne dary dawały im możność tem skuteczniejszego działania.

Bracia Jaksowie, mając już doświadczenie, jak ciężką i niebezpieczną była przeprawa do granic Polski, zawczasu zaczęli naradzać się o powrocie. Naówczas Jurko, który był umysłu żywszego, wpadł na szczęśliwy pomysł, ażeby z powrotem rozdzielić się i oprócz namaszczonej korony wieźć drugą podobną, fałszywą, aby Niem-

com czatującym pozwolić ją pochwycić. Ta mniemana korona dla większej pewności pójść miała przodem, aby wpadła w ręce straży i oswobodziła od niej drogi. Nazajutrz opowiedziano o tem o. Gerbertowi, który uśmiechnął się i zdumiał bystrością umysłu Jurka, pomysł jego chwając wielce.

Starania o koronę przeciągały się długo, stawali bowiem temu na przeszkodzie wszyscy przychylni cesarzowi, będący w otoczeniu papieskiem. Naostatek ujęty wymownemi prośbami o. Gerberta, papież Benedykt przyrzekł koronę, którą sam miał pobłogosławić u grobu księcia apostołów.

Nie potrzeba było robić wytwornej, której robota wieleby czasu zabrała. Złota obręcz, kilkomakamieniami szlifowanymi nasadzana, wystarczała. Błogosławieństwo nadawało jej główną wartość. A im łatwiej dawała się ukryć, tem było pewniejszem, że z takim trudem zdobyta korona dojdzie rąk Bolesława.

Drugą podobną naprędce ukuć kazano; tę ofiarował się wieść przodem mężny Andruszko. Wiedzieli oni obaj z o. Romualdem, że zatrzymani i do więzienia wtrąceni będą, lecz obaj chcieli okupić tą ofiarą przewiezienie bezpieczne poświęconej korony do Poznania.

Wielki to był dzień dla wysłańców polskich, gdy im oznajmiono, aby byli w krypcie u grobu Piotrowego świadkami tego niezwykłego obrzędu poświęcenia korony.

Przy mszy świętej leżała na ołtarzu korona, dotykając relikwji apostołów; poświęcił ją sam

Ojciec święty, a po uroczystym obrzędzie oddał ją wraz z listem posłom, którzy w imieniu króla zaręczyli podległość Bolesława stolicy apostolskiej.

Tegoż dnia, nim jeszcze posłowie ruszyli się z Rzymu, już goniec potajemny wyprzedzał ich, głosząc, że jadą polańscy posłowie z koroną, aby ich pochwycono.

Nazajutrz jawnie wobec licznych świadków, ze znaczniejszym poczem ruszył Andruszko z o. Romualdem, wioząc koronę fałszywą.

Dopiero w dni kilka potajemnie wyjechać mieli Jurko z o. Gerbertem, z koroną poświęconą, która miała uwieńczyć skroń królewską i spełnić tak ważne posłannictwo. Wszystko stało się, jak obmyślano. Pierwszy poczet przebył Włochy, śledzony przez wysłańców cesarskich, którzy mieli za zadanie wskazać ich strażom na granicy Niemiec.

Na drugim noclegu niemieckim posłowie polscy zostali otoczeni przez tak liczną gromadę zbrojnych, iż o obronie ani myśleć było można.

Z urąganiem poprowadzono ich do najbliższego zameczku. Przeszukując juki, znaleziono koronę, z czego radość i tryumf były ogromne. Szukano też listów papieskich, przetrząsając wszystko, ale napróżno; przyciśnięty o. Romuald zeznał, że zniszczył je zaraz po pojmaniu.

Natychmiast wysłano w różne strony gońców z oznajmieniem o radosnej nowinie.

Gdy się to działo na głównym gościńcu, o. Gerbert i Jurko przemykali się bocznymi drożynami i lasami z wielką ostrożnością od klasztoru do klasztoru. Jurko czuwał nieustannie, prawie nie kładąc się na spoczynek, chyba gdy przybyli do klasz-

ru, w którym pewni byli bezpieczeństwa, a on znużony bardzo spinaniem się po niedostępnych manowcach, zasnął na chwilę.

Chociaż pochwycenie korony uspokoiło zupełnie cesarskich, jednak jadąc przez niemieckie kraje, wiozący koronę podwajali czujność.

Gdy wreszcie po tylu trudach ujrzeli Łabę, uradowało to ich wielce; wieczorem przeprawili się przez rzekę, a będąc tu już bezpieczniejsi, przyśpieszyli biegu. Jurko, chcąc sprawić królowi radość, wyprawił przodem najzręczniejszego pacholka do Poznania z uwiadomieniem, że poświęcona korona przybywa.

Wprawdzie opat Aron miał uwiadomienie z Rzymu od benedyktynów, że Jurko tam przybył, lecz potem już żadnej wieści o obu wyprawach nie było. Król niecierpliwił się i narzekał. Gdy Andruszkę i o. Romualda pochwyceno z koroną, wieść o tem rozeszła się tak szeroko, że i do Poznania doszła.

Tu nie wiedziano wcale o podstępie Jurka. Opat był bardzo zmartwiony; nie śmiał wyjawić tej smutnej wieści Bolesławowi. Zwlekał.

Ksiądz Petrek, który wszystkie nowiny miał pierwszy, i tę już posiadał; pozornie chodził zasmucony, ale tak ją szeroko rozgłaszał, aby czemprędzej doszła do króla.

Pewnego wieczora, gdy król siedział zadumany, wsunął się do komnaty trefniś jego, karzeł, a chcąc rozerwać pana żartem i uśmiechem, odezwał się niebacznie:

— Miłościwy panie, trzeba będzie kontentować się koroną słomianą, bo złotą cesarcy porwali.

Bolesław nie odrazu zrozumiał znaczenie tego żartu, kazał go powtórzyć, a pojawiawszy, kazał karła osmagać i wyrzucić precz. Trefniś wystraszony upadł do nóg królowi i wyznał, że o tem mówią już wszyscy we dworze, a on słyszał to od księdza-pisarza.

Dwóch komorników wnet gwałtem przyciągnęło przed króla wystraszzonego, prawie bez duszy księdza-pisarza. Zagrzmiał nad nim głos królewski, skąd i od kogo słyszał o tem.

Pisarz umiał powiedzieć tylko, że w całym dworze wiedzano o tem, że koronę, wiezioną do Poznania, cesarscy na granicy schwycili.

Słano po opata, który idąc dowiedział się o królewskim gniewie, lecz nie uląkłszy się go, przybył spokojny, bez najmniejszego pośpiechu. Król już ochłonął nieco, a ujrawszy spokojne i pogodne oblicze, czekał, aż się opat przybliży.

— Ojcie, prawda-li to?... Wszyscy aż do najmniejszego błazna wiedzą o tem, tylko ja nie wiem nic.

— Wieści chodzą, ale pewności niema; dlatego, miłościwy panie, płochych pogłosek do uszu twoich nie podałem.

Ks. Petrek, któremu chodziło o to, aby się nie okazać plotkarzem, zaręczył, że wieść prawdziwą była. Wiedział nawet dokładnie, w którym hrabstwie i miasteczku posłowie schwytani zostali.

Król był gniewny i zmieniony, chciał trzecie poselstwo wysłać.

Zdaniem opata było, aby nic nie poczynać, dopóki nie nadejdą wieści pewne, ostateczne; mówił więc:

— Wszak jedne posły pochwycone być mogły, a drugie mogą wrócić szczęśliwie.

Bolesław ochłódł nieco.

Dni płynęły chmurne w oczekiwaniu na jakąś pewniejszą wiadomość. Król u stołu ożywiał się trochę, ale noc przynosiła z sobą troskę, sny miał niespokojne.

Jednego dnia opat, idąc do tumu, spostrzegł pachotkę na koniu zmęczonym, wbiegającego w podwórze.

Wstrzymał się i skinął. Skoczył jezdny z konia i podbiegł ku niemu. Opat go poznał.

— Co wiesz?—spytał.

— Wieść dobrą, ojcie przewielebny! O dwa lub półtora dni za mną ciągną o. Gerbert z Jak-są i wiozą poświęconą koronę z Rzymu.

Zdumiał się radośnie opat.

— Bogu niech będą dzięki!... lecz tu rozeszła się wieść...

Chłopak się rozśmiał.

— A tak, Andruszko, Jaksa i o. Romuald umyślnie wieźli przodem fałszywą koronę i dali ją zabrać cesarskim. Poświęcona jest już na naszej ziemi.

Opat zamyślił się nieco.

— Nie mów o tem, aż ci pozwolę.

Bolesław dnia tego miał wiele spraw do są-dzenia, do pogodzenia spory zajadłe, znużony był karaniem winnych i godzeniem zwaśnionych. Niektórzy z nich stali jeszcze, bo król umyślnie wyrok odroczył, aby ich przywieść do upamię-

tania. Siedział, odpoczywając, otoczony radą swą i rycerstwem, gdy wszedł opat Aron. Przyjście jego zwiastowało zawsze ważną sprawę.

Powstali wodzowie, witając go, uchylił i król głowę, oddano mu pierwsze miejsce. Aron stał.

— Przynosicie mi co, mój przewielebny, lub może macie żądanie jakie? Wam zawsze i przedewszystkiem należy się pierwszeństwo.

— Dziś mi ono należy się wistocie, bo przynoszę wam, miłościwy panie, to, czegoście najmocniej pożąдали: koronę!—rzekł Aron.

Oczy Bolesława zajaśniały, powstał cały poruszony; wszyscy skupili się, słuchając ciekawie.

— Objawienie mieliście?—spytał król.

— Przybył poseł od o. Gerberta i Jurka Jak-sy; są o półtora dnia drogi od Poznania.

— Więc niegodziwem kłamstwem było, na moje utrapienie zmyślonem, że ją pochwycono. Winnych należy ukarać.

— Nie winien nikt, koronę pochwycono, ale korona stanie tu jutro—odezwał się opat.—Dano pochwycić cesarskim inną, która poświęcona nie była, aby się uspokoił; namaszczone przybywa.

Na wszystkich twarzach odmalowała się radość, król podniósł ręce do góry i, przejęty do głębi, zawołał:

— Niema, czegobym nie uczynił dla tego, co tak rozumnie postąpił.

Gwar się stał w izbie, poszły okrzyki głośne. Zbiegli się ludzie, podpatrując i podsłuchując.

Król skierował kroki ku kościołowi. Szedł za nim opat, szli panowie radni, pchała się ciżba, Kazano w dzwon uderzyć.

Na dworze nie wiadano, za co dziękczynne odprawiają modły, lecz kto żył, cisnął się do tumu. Przed wielkim ołtarzem, u grobu ojca stanął Bolesław, jakby z duchem ojca dzielić się chciał radością swoją.

Opat Aron wraz z całym katedralnem duchowieństwem zanucił hymn dziękczynny.

Właśnie ks. Petrek siedział w swej celi, gdy wpadł Harno, wołając, że korona z Rzymu przybyła i że król w tumie już za nią Bogu dziękuje.

— Kłamiesz, niezdaro! — krzyknął rozdrażniony. — Jak zawsze, chwytasz na opak słowa.

Wtem usłyszał dzwon, bijący coraz wyraźniej na tumie, zarzucił więc na siebie płaszcz i wybiegł. Dokąd, nie zdawał sobie sprawy.

Na dworze nikt nie wiedział, co się stało, rozmaite obiegały wieści, wiedzieli tylko wszyscy, iż król z radą przyboczną i opatem Aronem pośpieszył do tumu z radosnem jakimś podziękowaniem Bogu. Ks. Petrek z twarzą wybladłą i zmienioną, oburzony wieścią, której nie wierzył, mając najpewniejsze doniesienia, wbiegł do zakrystji i tam oczekiwał na opata.

Gdy po skończonym hymnie opat ukazał się w progu i spostrzegł księdza-pisarza, podszedł do niego w kapie i w infule z rozjaśnioną twarzą, mówiąc:

— Ciesz się, mój ojcze!... Król otrzymał, czego pragnął, poświęconą przez ojca świętego koronę! Wielkiego rozumu posłowie nasi umyślnie dali w ręce cesarskich koronę fałszywą, aby łatwiej przewieźć mogli prawdziwą, namaszczoneą.

Ks. Petrek zbladł jeszcze bardziej, drgnął, lecz nic nie mówiąc, skłonił głowę i wymknął się natchmiast.

Nigdy może nie czuł się tak przybitym, tak upokorzonym, jak obecnie. Wolnym krokiem powracając do swej celi, mówił do siebie:

— O lisy chytre! o węże złośliwe! Nie ujdziecie mściwej ręki cesarza! Runie, rozsypie się w proch królestwo wasze! Tryumfujcie! krótkie to będą tryumfy!

I śmiał się do siebie gorzko, złośliwie, kryjąc się w celi, by nie widzieć radości ogólnej, jaką cały dwór był przejęty.

XIX.

Powrót Jaksów do starego dworu.

Radość, napełniająca króla Bolesława, objawiała się łaskami, spływającemi na najbliższej go otaczających. Mieszkowi zapomniał urazy, Bezpryma obdarzył, uśmiechał się do synowej; Odzie, która na ówczas już była mu poślubioną, oznajmił, że będzie królową koronowaną narówni z innemi.

Opat Aron został obdarowany dobrami ziemskimi, Jaksom kazał wykupić zabrany przez dłużników majątek, obiecując Jurkowi wyprawić wesele z Sieciechówną, sypał wkoło siebie liczne dobrodziejstwa. Pragnął, by najbliżsi radowali się wraz z nim i byli, jak on, szczęśliwi.

W dniu, gdy upragniona korona nadejść miała, wysłano naprzeciw poczty, aby była z na-

leżną wspaniałością wprowadzona i złożona na ołtarzu, aż do czasu koronacji, która miała się odbyć w Gnieźnie.

Tymczasem, gdy na dworze Bolesławowym wszyscy się radowali, w Niemczech mszczono się na niewinnych ofiarach, które pochwycili. Andruszkę i o. Romualda osadzono w srogiem więzieniu, na odludnym zameczku w górach, pod kluczem stróża, który już niejednego nienawistnego cesarzowi winowajcę umorzył.

Najusilniejsze starania opata Arona, aby oswobodzić pochwyconych, były próżne. Król obstawał silnie przy tym, aby jakimbądź sposobem ratować tych, którzy dla niego się ofiarowali. Nie mogąc znaleźć innego sposobu, gdyż prośby benedyktynów, jakoteż i obietnicę okupu odrzucano, wyszukano na granicy na lichym gródku mieszkającego barona, który za dobrą opłatą ofiarował się wpaść na gródek, gdzie załoga była słaba, i więźniów siłą odbić. Stało się, jak przyrzekł chciwy okupu obrońca. Nocą napadł na gródek, którego nie pilnowano, schwytał dozorców, zagroziwszy im śmiercią, kazał zaprowadzić się do więzienia i odbił nie tylko tych dwóch, ale i wszystkich, którzy w lochach byli więzieni. Ci zaraz rozpierzchli się w górach, Andruszkę zaś i o. Romualda odprowadził rycerz-oswobodziciel aż do granicy i pokazał im dalszą drogę.

Zanim przygotowano do koronacji króla, już i Andruszko z benedyktyinem powrócili do Poznania. Tak byli znękani niewolą, że trudno ich było poznać. Wybladli, zgłodnieli, chorzy, wychudli, potrzebowali długiego spoczynku i opieki,

by odzyskać zdrowie i siły. Jurko od chwili przybycia nie odstępował brata, a król otaczał ich troskliwością ojcowską i obsypywał łaskami.

Gdy Andruszko trochę wyzdrowiał, obaj bracia pokłonili się panu, prosząc, aby im dozwolił spocząć na ojcowiźnie. Bolesław niechętnie ich puszczał od swojego boku. zwlekał, lecz wreszcie zgodził się, by jechali do domu.

Jurko, mając obietnicę króla, że mu wyprawi wesele z Sieciechówną, jechał szczęśliwy wyścielić gniazdko; Andruszko, radując się szczęściem brata, uczuł, że na koń sięść już może.

Powrót braci do borów Jaksowych przypadł w zimie, ziemia była okryta białym całunem, lodem zasłane rzeki i jeziora; Jaksowie wracali drogą pamiętą, tą samą, którą ich wysłaniec królewski na sąd prowadził. Wspomnienia te mimowoli na myśl im przychodziły; w miarę jak się zbliżali do spodziewanej pustki, smutnieli obaj i ogarniała ich jakaś obawa. Jechali w małym orszaku czeladzi, lecz nie tak świetnie i butno, jak niegdyś powracali z kijowskiej wyprawy.

Ostatniego dnia podróży, gdy już zbliżali się do swej starej siedziby, nastąpiła wielka gołoledź, utrudniająca jazdę. Konie się ślizgały i upadały, musieli zboczyć z drogi dla okucia ich na ostro. A że podówczas mało było takich kunstmistrzów, którzy umieli dawać sobie radę z żelazem, musieli więc Jaksowie spory kawał odbić się od gościńca, aby znaleźć kowala; stracili przez to tak wiele czasu, iż zamiast stanąć przed dworem po południu, stanęli dopiero przed nocą.

Gdy wynurzyli się z lasu na szeroką polanę, otaczającą dworek, z bijącym sercem ujrzeni go z daleka. Jakież było ich zdziwienie, gdy w miejscu spodziewanej pustki zobaczyli stary dwór oświetlony, z kominów buchające dymy, a na podwórku wiele ludzi i koni. Wrota stały otworem, pachołkowie trzymali smolne pochodnie. Przy świetle poznali Jaksowie wszystkich swych powinowatych, którzy wyszli do wrót, aby ich powitać u własnego progu.

Najstarszy z rodu, widząc ich wstępujących, zawołał:

— Niech Bóg błogosławi cudownie wybawionym, a strzeże od nierozwagi i lekkomyślności. A pomnijcie, coście przeszli za to, że poczynaliście jak zawadjaki, nie tak jak rycerzom przystało!

Bracia zsiadli z koni i zaczęli ścisnąć się ze wszystkimi. Cisnęli się do nich dawni słudzy, padając do nóg i całując po rękach.

Dom, który spodziewali się zastać pustym, był z rozkazu króla obficie zaopatrzony. W wielkiej izbie zastawiono stoły. W skarbcu pełno było szat, zbroi i wszelkiego dostatku. Snem i cudem wydało im się to odrodzenie po przebytych tylu ciężkich przygodach.

Duchowny, przysłany przez opata Arona, poświęcił na nowo dom i rozpoczęła się uczta, która trwała do białego dnia. Goście rozjechali się dopiero czwartego dnia, i Jaksowie zostali sami na swoim gospodarstwie. Ponieważ starym obyczajem Słowian ojcowskie gniazdo należało młodszemu, więc Andruszko zmusił Jurka, aby pozostał w Jaksowych Borach, a sam przeniósł

się do drugiego dworu, który stał pustką na ziemiach do nich należących, zwano go Gródkiem Zielonym.

Podzielono równo ziemię i dary królewskie; Andruszko, nie zwlekając, pojechał zaraz na Zielony Gródek, aby się tam zagospodarować. Jurko krzątał się w starym dworze, przyprowadzał go do porządku, ściągał służbę i szykował się na przyjęcie młodej pani.

Aż do dnia przeznaczonego na koronację królewską, oba Jaksowie zajęci byli urządzaniem swoich gospodarstw. Obrząd koronacji chciał Bolesław mieć tak świetny i wspaniały, aby rozgłos o nim rozszedł się po całym świecie i Niemców utrapił. Mając szczególne nabożeństwo do św. Wojciecha, naznaczył koronację na dzień poświęcony temu męczennikowi, wypadający w kwietniu. Na obchód ten pośpieszyli do Gniezna ze wszystkich ziem podległych Bolesławowi: wojewodowie, żupani, wszelka starszyna i co było najznacznieszego.

Na grodach pozostawiono tylko załogi i dowódców, aby nieprzyjaciel nie skorzystał z ich bezbronności.

Zaprosił król Guncelina i markgrafa Ekarda, ojca obecnej królowej Ody, oraz kilku jeszcze Niemców, aby byli świadkami uroczystości, która miała dorównać wspaniałością pamiętnemu przyjęciu Ottona III.

Zamek gnieźnieński nie mógł pomieścić ani połowy gości, którzy tu przybyć mieli, chociaż kilka wielkich izb stołowych dobudowano.

Wielu panów rozmieszczono pod namiotami, szałasami na podzamczu.

Już od początku kwietnia szły do Gniezna wozy ładowne. Na tysiące można było liczyć spodziewanych gości, którzy na koszcie króla utrzymać się mieli.

Na gnieźnieńskiej arcybiskupiej stolicy był brat św. Wojciecha, Radzym, starzec już lat podeszłych, mąż wielkiej świętobliwości. Jemu danem było namaścić skroń królewską. Ceremoniał ułożyło duchowieństwo na wzór tego, z jakim koronowano cesarzów w Akwizgranie. Korona przysłana z Rzymu, włócznia św. Maurycego w berło oprawna, dar cesarza Ottona, miecz błogosławiony, który Bolesław nosił zawsze u boku, służyć miały do koronacji. Jabłko dano ukuć z bryły złota; było ono tak ciężkie, że tylko silna ręka króla Bolesława udźwignąć je mogła. Ciężkie, jak władczenie krajem, ciężkie, jak odpowiedzialność zań przed Bogiem.

Na kilka dni przed św. Wojciechem płynęli goście tłumami, z zagranicy zaproszonych przybył tylko Guncelin, był tu przysłany, by wypatrzył wszystko i doniósł cesarzowi. Markgraf Ekard odmówił przybycia, wymawiając się chorobą.

W Niemczech gniewy były srogie i zaciętość niesłychana; zarzucano Bolesławowi bunt przeciw władzy cesarskiej. Bolesław mało na to zważał, wiedział, że raz włożona korona siłą poparta, uznaną być musi.

Dzień naznaczony na uroczystość wstał jasny i pogodny. Podwórcę, wały, a nawet łąki dokoła

tysiącami ludzi były pokryte. Droga od zamku do tumu wysłana była czerwonym suknem. Świątynia gorzała światłem, ołtarz wielki złotymi blachami obity, z krzyżem ogromnym, który Bolesław ze szczerego złota ukuć kazał, lśniły blaszkiem wspaniałym. W kościele szczupłym na ówczas tylko duchowieństwo i główniejsza starszyzna pomieścić się mogła.

Gdy Bolesław złocistą szatą odziany, w płaszczu purpurowym, ukazał się w drzwiach dworca, rozległy się dokoła tysięczne okrzyki. Prowadził go orszak ogromny dostojników w futrach sobolich, łańcuchach złotych, pasach sadzonych, z mieczami u boku, z laskami jako godłem dostojęństwa w ręku.

Za królem szło dwunastu jego radnych, za nimi królowa Oda ze swym dworem niewieścim.

Na progu kościoła powitali pana błogosławieństwem dwaj biskupi, Radzym i biskup poznański, a wzięwszy go pod ręce, prowadzili przed wielki ołtarz. Za królem niesiono oznaki władzy: poświęconą koronę, berło i miecz, które złożono na ołtarzu.

Rozpoczęły się obrządki koronacyjne modlitwą i mową, którą miał arcybiskup Radzym do króla. Potem następowały dalsze ceremonie, aż wreszcie namaszczenie, włożenie korony na głowę Bolesława, oddanie berła, przypasanie miecza, którym król przeszył powietrze na cztery świata strony.

Teraz rozległy się śpiewy wesole, głośne, zwycięskie.

Bolesław siedział już na tronie, spoglądając

dumnie dokoła. U wielkiego ołtarza arcybiskup Radzym odprawiał mszę.

Już nabożeństwo ku końcowi się miało, gdy nagle ściemniło się mocno, wichher zawył wściekle, rozległ się świst i szum po kościele, sypnęło gradem i deszczem.

Król siedzący na tronie zbladł, zadrżeli wszyscy. Słysząc było burzę, bijącą w błony okien kościelnych, parę błyskawic przeszło powietrze, gdzieś w dali rozległ się grom, odbijając się echem o ściany kościoła. Gdy ostatnią modlitwę kończono, burza jeszcze przypuściła szturm do ścian świątyni, i wysilona, omdlała, zmieniła się w wiatr słaby. Z za poszarpanych obłoków poczynął przeglądać błękit. Coraz szerzej ukazywał się lazur pogodny, rozrywały się chmury i słońce zwycięskie ukazało się w całym swoim majestacie. Tym słońca promieniem zajaśniała na nowo twarz królewska.

Bolesław powstał, uniżył koronowaną głowę przed ołtarzem oraz przy trumnie męczennika, i w gronie duchowieństwa szedł ku drzwiom kościoła.

W podwórcach ozwały się trąby, rogi i wykrzyki radosne. W tłumach niewiele było przychylnych Niemcom, lecz i ci bledli z bezsilnego gniewu. Guncelin w zbroi wspaniałej, cały świecący od złota i drogich kamieni, szedł posępny w orszaku, nie umiejąc ukryć rozżalenia.

Ks. Petrek, udając pokorę, wściekał się pod wrażeniem tego dnia uroczystego, zwiastującego dalsze dni potęgi i wielkości. Czuł się zwyciężonym, gorycz przepełniała go.

Na dworcu otoczyli króla wszyscy, niosąc mu dary i życzenia. Tu widać było, jak ten surowy i często gwałtowny król ukochanym był przez wszystkich, szczególnie starzy wojacy, którym w obozie był bratem, zbliżali się doń jak do przyjaciela i towarzysza broni. Bolesław miał dla każdego uśmiech i słowo życzliwe.

Przy królewskim stole siadła cała rodzina, Mieszko rzucający na Bezpryma niechętnie spojrzenia, dumna Ryksa spoglądająca z góry i jakby z pogardą na przybraną macochę Ode, dalej siedział pokorny Dobromir, trzeci syn Bolesława, który upodobał sobie stan duchowny i przebywał w klasztorze w Trzemesznie.

U tegoż stołu dano miejsce starszyźnie duchownej i Guncelinowi, który na próżno silił się udawać wesołość. Król też nie patrzył na niego. Dnia tego uroczystego zamknięty był w sobie.

Gwarna biesiada przeciągnęła się długo nie tylko na dworcu, ale i w przybudowanych izbach, i pod namiotami ludzie weselili się, ucztując. Ktokolwiek przyszedł dnia tego, był nakarmiony i napojony, nie odpychano nikogo.

Gdy w królewskiej jadalni ruszać się od sto-łów poczęto, podniósł się też i Guncelin, bo mu tu ciężko było oddychać. Sam nie wiedział jak znalazł się we drzwiach otwartych; na progu spostrzegł twarz znajomą, był to ks. Petrek. Porozumieli się oczami i poszli w podwórze, ale i tu wrzawa mówić nie dała. Posuwali się tak coraz dalej milczący. Petrek przybrał szyderski wyraz twarzy i odezwał się złośliwie:

— Cesarski przepych! Niewidziana wspaniałość! Wielki pan nasz. Dzień uroczysty! Dzień wesela i zwycięstwa... żal tylko, że napiętnowany groźbą i przestrogą... Słyszeliście tę burzę?... co nasze pieśni zagłuszyła?...

Guncelin głową tylko dał znak.

— Patrzałem nań, gdy grom uderzył: zbladł i zadrżał.

— Ale po tej groźbie wróciło słońce i pogoda — dodał cichym głosem Guncelin.

Petrek, jakby w burzę tylko wierzył, przerwał:

— Burza była straszna...

Guncelin stanął, ręką wskazał w stronę komnat królewskich, mówiąc cicho:

— Kruche to budowanie! Nie potrwa długo.

Uśmiechnął się ks. Petrek.

— Co najdłużej, do końca żywota mniemanego króla.

Potwierdził te słowa ks. Petrek.

— I ja tak myślę... Kruche i wątłe to budowanie. Trzeba nam stać na straży, aby w chwili potrzeby być na stanowisku... Zawrze tu walką... ledwie mu się oczy zamkną, zawrze wojną...

— Pan nasz, cesarz Henryk, świątobliwy to pan, ale nie do miecza stworzony... dlatego lada panek słowiański bezkarnie pod jego nosem przywdziewa koronę.

Petrek potakiwał głową, z ust westchnienie mu się wyrwało.

Z tysiąca takich obrazków składał się jeden wielki obraz dnia tego. Obok wesela i tryumfu snuły się troski i bezsilne gniewy, ale te ukrywać się musiały.

Bracia Jaksowie przy tej uroczystości sprawowali obowiązki podczaszych u stołu pańskiego, a ile razy który z nich panu kubek padał, uśmiechał się doń Bolesław. Drożsi mu teraz oni byli, niż dawniej, jak te owieczki zbłąkane, które do stada wróciły.

Już po siedmiodniowych ucztach król miał do Poznania powracać, gdy wieczorem opat Aron wezwał do siebie ks. Petrka. Ani wątpił ksiądzpisarz, że za wierne służby będzie hojnie obdarowanym. Zastał przełożonego swojego w obszernej izbie, w której stoły założone były kunsztownemi sprzętami, złotemi i srebrnemi naczyniami, sztabami złota i innemi rzeczami przeznaczone-mi dla kościołów i duchowieństwa.

Opat powitał Petrka, twarzą jaką miał zawsze.

— Wezwałem was, aby w imieniu króla podziękować za usługi, jakieście mu oddali. Przeznaczono wam tę ilość złota w nagrodę i... wszystkie koszta podróży...

— Podróży?... jakiej podróży?

Opat chwilę milczał.

— Sądzę, że wam będzie przyjemniej powrócić do Magdeburga...

— Sąż już niepotrzebne tu moje usługi?... Lub może wierność moja dla króla jest niesłusznie podejrzewana?...

Uśmiechnął się opat.

— Od początku nie podejrzewaliśmy was nigdy, wiedzieliśmy komu służycie. Zostawialiśmy was na urzędzie tylko dlatego, iż woleliśmy na niem mieć osobę, o której wiedzieliśmy, że się jej strzedz mamy. Dziś, gdy król koronę otrzymał,

gdy wszystko odkryte... pocóżbyście dłużej pozostawać mieli w nienawistnym sobie kraju?... Cobyście im donosili?...

W miarę jak opat mówił, Petrek bladł, drżał i o ściany oprzeć się musiał, by nie upaść.

— Potwarze to są wrogów moich! — zawołał z wysiłkiem.

Nie słuchając odpowiedzi, opat Aron wyjął woreczek, rozwiązał go, a wydobywszy zeń zwitki, które Jaksowie pod drzewem znaleźli, podał je protonotarjuszowi na dłoni.

Oczy jego przerażone padły na nie, ciężki oddech dobył się z piersi, odpowiedzi nie było. Dowód zdrady był niezaprzeczony. Nie prędko pisarz począł coś bełkotać.

Opat, nie zważając więcej na niego, rzekł:

— Konie i służba gotowe dla was, zabierzcie złoto... Choćcieście chcieli, nie mogliście nam zaszkodzić, a praca była, więc i zapłata wam się należy...

To mówiąc, opat posunął bryłę złota; Petrek zagarnął w poję i oddalił się w milczeniu.

XX.

E p i l o g.

Lat kilka upłynęło od koronacji króla w ciszy i spokoju. Małżeństwo z Niemką Odą zaczynało Bolesławowi ciężyć. Oda nienawidziła całej rodziny królewskiej, prowadziła z nią ciągle ukrytą walkę; Bezpryma starała się pozyskać dla Niemiec.

Tak płynęły dni coraz cięzsze.

Król więcej teraz niż kiedykolwiek zajmował się zabezpieczeniem przyszłości. Ustanawiał na pogranicznych zamkach strażę, Mieszka wdrażał do pilnowania ich, troskał się o rzeczy najmniejsze. Bohater i zdobywca za młodu, chciał być prawodawcą i gospodarzem w podeszłym wieku.

Czując się coraz słabszym, przypomniawszy sobie król, jak po śmierci ojca został sam zmuszony dobijać się zwierzchnictwa, które mu się należało. Chciał, by po jego zgonie wszyscy wiedzieli wolę ostatnią. Rozesłał więc gońców do władzyków i przedniejszych panów, do radnych i wodzów, ażeby się zjechali do Gniezna.

W dniu oznaczonym zebrali się wszyscy, aby usłyszeć z ust pana ostatnią jego wolę.

Król, z koroną na głowie, z berłem w ręku zasiadł na tronie, obok niego stanął Mieszko, niżej dostojnicy i dwunastu panów rady. Cisza wielka zaległa, aż przemówił pan, jako władca namaszczony.

Mówił, iż czując się blizkim zgonu, pragnie, by królestwo zostało pod jednym panem, na którego wyznacza Mieszka. Prosił o wierność dla tego syna, następcy swego. Jemu zalecał, by sprawiedliwie rządził, ubogi lud otaczał opieką, krzywdzić go nie pozwalał, czujnie bronił granic i co on złączył krwią swoją i ludu tego, by syn w całości utrzymał.

Mieszko, pokłękawszy, ucałował rękę ojcowską i przyrzekł wolę jego wypełniać. Duchowni zanucili hymn i tak się zakończył ten dzień uroczysty.

Od dnia tego król słabł coraz więcej, a po parotygodniowej chorobie życie zakończył.

Ze zgonem jego na długo ustąpiły z Polski pokój i wesele. Powszechny żal zostawił po sobie ten król zwycięzca a zarazem gospodarz i ojciec, to też cały rok trzymano po nim żałobę.

Zaraz po zgonie króla opat Aron, który już dawnego zachowania i łaski nie miał u Mieszka, ustąpił ze dworu, powracając do Tyńca.

O losie braci Jaksów niewiele dopowiedzieć pozostaje. Po ciężkich próbach wyszli oba na mężów zacnych, godnych przodków swoich. Andruszko ożenił się z dawną znajomą swą greczyńką, która po dwóch latach pożycia zmarła. Wtedy puścił Jurkowi Gródek Zielony, a sam powrócił do pancernych, do życia wojkowego. Jurko poślubił Teodorę Sieciechównę i osiadł na Jaksowych Borach. Chociaż bardzo szczęśliwe wiódł życie, tęsknił do rycerskiego chleba, a ziemianinem spokojnym być nie umiał.

W kraju smutne nastały czasy. W zamęcie, zwiększającym się z dniem każdym, wśród klęsk, które jedne po drugich się waliły, zabrakło myśli jasnej i woli silnej do utrzymania w karbach tego, co Bolesław pozostawił. Troska i boleść do reszty odjęła Mieszkowi przytomność. Nieśluszenie gnuśnym go zwano, lecz nieudolnym był do utrzymania spuścizny ojcowskiej.

Przyszła chwila, gdy po śmierci nieszczęśliwego Mieszka, po ujściu Ryksy z Kazimierzem, nie było ni nadziei, ni środków zwycięstwa, kraj cały został zalany przez pogan, którzy wylegli

z kryjówek swych w borach. Kościoły burzono, chrześcijan mordowano, zamki niszczone.

Jaksowie na swym gródku bronić musieli mienia i życia swych rodzin. Cały ród zgromadził się u nich, aby wspólnemi siłami łatwiej się bronić mogli. Inne zamki opuszczono, zostawiając je na łaskę Opatrzności. Do silnego oporu gotowali się zrozpaczeni, tak, że nawet niewiasty gotowe były przywdziać zbroje.

Usypano okopy, otoczono ostrokołem, zameczek zaopatrzono w żywność obficie. Przygotowano już wszystko, zanim te gromady rozwścieczone ośmieliły się napaść na gródek dobrze strzeżony. Sądzone, że głodem go wezmą. Tak upłynęło kilka miesięcy. Kiedy niekiedy oblegani wypadali z gródka w kilkadziesiąt koni w lasy za zwierzyną. Czasem gromady szły pod same wały, przypatrując mu się. Wreszcie łakomstwo zdobyczy, której się u Jaksów spodziewano, popchnęło ogromne gromady tej czerni pod gród Jaksów.

Nazajutrz o świcie rzuciła się ta tłuszcza na ostrokoły, ale taka chmara strzał ich zasypała, tyle trupów padło, że cofnąć się musieli.

Kilka dni oblegali gródek, lecz żywności braknąć im zaczynało, objedli bowiem całą okolicę, po naradzie więc połowa się rozeszła, została część tylko. Jaksowie, choć ludzi mieli mniej, lecz w boju wyćwiczonych i dobrze zbrojnych, każdy szedł na dziesięciu z tłumu. Spędzono więc tę czerń w lasy.

Nie ufając jednak tłumom, czekano ich w ciichości w warownym gródku.

Jakoż dowódca tych gromad, Zyrun, ściągawszy je w lasach, pocichu przypełznął z nimi pod gródek, myśląc, że go bezbronnym zastanie. Gdy mrowie to zbliżało się do ostrokołów, sypnęły się kamienie i kłody, tak, że znów cofnąć się musiano.

Bronili się tak Jaksowie miesiące kilka, aż dnia jednego nadbiegł oddział złożony z synów władyków i żupanów, z oznajmieniem, że Kazimierz wraca do Polski z posiłkami cesarskimi, aby w kraju spokój i ład przywrócić.

Na to więc zeszło to potężne Chrobrego państwo, że Niemcy zbawcami jego być mieli, że w niem trzeba było na nowo szczepić wiarę, stanowić prawa, stawiać kościoły i umacniać uszczuplone granice. Wszystkie skarby uprowadzono do Czech, inne Ryksa, uchodząc, powiozła z sobą; rozerwali je swoi i cudzy, nie pozostało nic, nad pamięć wielkiego króla, który się nie odrodził w potomku.

Jaksowie byli pierwszymi, którzy stanęli przy wnuku ukochanego pana swojego, pomagając do odbudowania rozsypanego w gruzy królestwa.

Obaj też doszli do znacznych dostojęństw i do majątków wielkich, a ród ich rozmnożył się na liczne gałęzie. Wszyscy byli ludźmi rycerskimi, piastującymi wysokie dostojęstwa w kraju.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Ród Jaksów	5
Namowa i napad	8
Trwoga i uwięzienie braci Jaksów	17
Prośba nieboszczyka. Gniew króla	21
Wyrok królewski.	28
Prośby Teodory. Ofiara królowej	34
Bracia Jaksowie pod opieką królowej	40
Król żałuje Jaksów	44
Ksiądz protonotarjusz	52
Na pustelni. Tajemniczy mnich.	66
Bracia wybawieni od śmierci	82
Bracia przeniesieni do Tyńca	95
Przygotowania do stawienia się przed króla	110
Ułaskawienie	119
Choroba i śmierć królowej	125
Zdrady ks. pronotarjusza.	134
Wyprawa po koronę. Przygody posłów.	142
Król poślubia Niemkę	153
Otrzymanie i przewiezienie poświęconej korony	163
Powrót Jaksów do starego dworu	174
Epilog	185

Chelsea

St. Stanislaus
Adult- Library

Mass.

author

J. I. Kraszewski

title

Jaksowie (

location

6-1

date due

home

J. I. Kraszewski

Jaksowie

6-1

